Nr. 19. Warszawa, dnia 11 Maja (29 Kwietnia) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BURZA AUSTRO-WĘGIERSKA.

Nuncyusz papieski w Wiedniu, msgr Agliardi, w czasie świątecznym i później odwiedzał biskupów na Węgrzech. Pobyt jego trwał ogółem dwa tygodnie. Przedstawiano mu duchowieństwo; miewał do niego przemowy; wyprawiano mu obiady; na obiadach wznosił toasty. W Wielkim Waraździnie (Nagy Varad), w Ostrzygoniu (Gran), w samym nawet Peszcie, gdzie nie ma wprawdzie żadnej katedry biskupiej, ale gdzie są namiętności wyznaniowe, ujemne i dodatnie — rozległy się krzyki i huki. Nuncyusz, choć przedstawiciel obcego mocarstwa, nie wahał się w sprawy wewnętrzne Węgier wetknąć swych pochwał, wskazówek i upomnień. Kościół węgierski nazywał „wojującym," duchowieństwo — namaszczonem, sprawę o uświeccenie zewnętrznych form i skutków, jakby świeckie dokumentowanie sakramentów, toczącą się właśnie jeszcze obecnie na Węgrzech — sprawą samej religi. Zalecał przytem i trzymanie się w granicach prawa, legalny tylko opór przeciwko reformom; gorąco nawet przemawiał za godzeniem obowiązków względem państwa z obowiązkami względem Boga i wysoko wynosił miłość ojczyzny. Zapamiętano mu tylko to, że „podburza."

Dnia 1 maja dep. Terenyi w sejmie zapytał: jak rząd patrzy na podróż? P. Banffy dał odrazu ognia z armstronga: nuncyusz dopuścił się niesłychanego nadużycia; minister spraw zagranicznych upomni się w Watykanie i zażąda naprawienia złego. Sejm bił oklaski. We dwa dni później w *Politische Corr.*, żywionej z kuchni wspólnego ministeryum spraw zagranicznych, ukazał się artykuł, potępiający p. Banffy'ego za samowolne oświadczenia w imieniu p. Kalnoky'ego i wspólnego rządu i przedstawiający sprawę tak, jakby minister węgierski, działając bez porozumienia się z p. Kalnokym, chciał czemprędzej wytworzyć fakt dokonany. Teraz, po wielkiej radości, przejęło liberałów węgierskich wielkie oburzenie. Zebrała się rada ministrów i uznała podanie się do dymisyi jako nakazane przez zuchwalstwo Kalnoky'ego. Z gotowym już aktem pojechał p. Banffy do Wiednia. Cesarz-król nie odrazu go przyjął, skazał go na przykre wyczekiwanie. Przez ten czas musiał dokończać układów z Kalnokym, który również groził dymisyą. Gdy wreszcie obaj, dopuszczeni przed oblicze panującego, przedstawili sprawę każdy ze swego punktu widzenia, okazało się, iż żaden z nich nie jest winnym, żaden ustępować nie potrzebuje, bo wina ciąży tylko na nuncyuszu, i nuncyusz też tylko za nią odpokutuje — ustąpieniem z Wiednia.

Całe to zajście byłoby burzą w szklance wody, gdyby w niej głównymi aktorami, miotającymi pioruny, nie byli synowie Arpada. Ale gdzie oni są, tam zawsze musi być i papryka wykrzywiająca usta. Nic się u nich nie zrobi spokojnie, z rozeznaniem, z ustopniowaniem uczuć do faktów. Na punkcie swego liberalizmu, który dzięki tylko łagodności duchowieństwa węgierskiego nie wydał z siebie „kulturkampfu" — są węgrzy równie namiętnymi, jak i na punkcie chorągwi lub małego *z*. Kto nie z nimi, ten przeciwko nim, a kto przeciwko nim—tego zaraz rozszarpać. Takim gwałtownikiem był p. Banffy, gdy się nagle wyrwał z odpowiedzią, z którą doskonale mógł, a nawet w każdym razie powinien był, poczekać na Kalnoky'ego.

Stronnictwo rządowe, mające już cztery prawa najdoskonalej uchwalone, a dwa bliskie uchwalenia przez magnatów — mogło było nie trwożyć się tak i nie obrażać podróżą, która absolutnie jednego gwoździka z prawodawstwa przeciwkościelnego wyjąć-by już nie zdołała, a była tylko bardzo zrozumiałą satysfakcyą, daną własnemu sercu, bądź co bądź, srodze dotkniętemu. Kto kłamie lub nie rozumie słów przeciwnika: p. Banffy, czy p. Kalnoky? — dowie się dopiero historyk, ale nawet gdyby wina była po stronie wspólnego ministra, jeszcze-by p. Banffy odpowiedzialnym być musiał za to, że sobie atrybucye wspólnego ministra spraw zagranicznych przywłaszczył.

Po za p. Banffym stoi sejm, stoją Węgry rządowe — i to nadaje wagę polityczną sporowi pomiędzy ministrami. Przesilenie gabinetowe na Węgrzech musiałoby nabawić wspólną monarchię wielkich kłopotów i niepokojów, mogłoby odbić się nawet na konstytucyjnych węzłach wspólności. W Przedlitawii już teraz sam wybuch nieporozumienia opóźnia zwołanie delegacyi i oddziaływa na wewnętrzny układ stronnictw w rządzie. Ustąpienie Kalnoky'ego byłoby dla stosunków ogólnych jakby trzęsieniem ziemi. To też cesarz Franciszek Józef nie wahał się, wbrew przekonaniom i uczuciom swoim, poświęcić Agliardiego, a zostawić obu swych ministrów. Kalnoky'ego uprosił pismem odręcznem niezmiernie łaskawem, p. Banffy'ego uspokoił przyrzeczeniem, że się o krzywdę Węgier upomni w Watykanie. Położenie przecież jest ciągle jeszcze niepewne. Pierwsza lepsza interpelacya węgierska może znowu wywołać wzburzenie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Japonia ustąpiła: zrzeka się półwyspu Liau-tong wraz z warownią i portem wojennym Port-Arthur i w zamian przyjmuje wynagrodzenie pieniężne, w wysokości oznaczonej tylko ogólnikowo: „koszty wojenne, w całości wzięte, ulegną *znacznemu* podwyższeniu." Do akcyi trzech mocarstw przyłączyła i swoję jeszcze Hiszpania. Na interpelacyę

w kortezach oświadczył rząd, że wie co robi i kiedyś naród pozna, iż zrobił dobrze. Cesarz Wilhelm jest bardzo z siebie zadowolony i obiecuje sobie z działania w Azyi wpływ zbawienny na politykę europejską, a co najmniej na uroczystości Kielskie. Ratyfikacyi nie dokonano jeszcze do czasu wysyłania ostatnich wiadomości; d. 7-go komisarze chińscy czekali jeszcze na japońskich. Jeżeli Japonia w ostatniej chwili nie rozmyśli się, potrzeba będzie zredagować wspólnie artykuł dodatkowy i dopełnić jego ratyfikacyi, o ile jej z góry już nie zastąpiono doskonałem porozumieniem się obu rządów. W każdym razie czynność się opóźni.

W Anglii Harcourt zapowiedział swoje ustąpienie z rządu. Rosebery, po influenzy jeszcze nie zupełnie zdrów, myśli również o wyjściu. Wybory uzupełniające przechylają wagę na stronę opozycyi zachowawczej. Znużona niedołęztwem obecnego rządu powszechność wyborców może dać przewagę liczebną zachowawcom i unionistom. Pociechą dla liberalnych jest poczynające się rozdwojenie w łonie odłamu, trzymającego z zachowawcami pod hasłem „Odmówienie samorządu Irlandyi i utrzymanie Unii."

Nicaragua skłania się już do zapłacenia żądanej indemnizacyi. Anglicy wszakże d. 7 b. m. zajmowali jeszcze port Corinto i trzymali komorę w swem posiadaniu, aby cłami spłacić sobie należność.

W Serbii skupczyna przed dwoma tygodniami zebrała się w Niszu. Mając w sobie 210 zwolenników rządu na 240 wszystkich posłów, bez trudności uchwaliła w odpowiedzi na mowę tronową, adres, który jest tylko jej parafrazą. Król Milan dostał 360,000 fr. rocznej pensyi, dwie trzecie tego, co chciał. Oboje rodzice króla mogą mieszkać w Serbii. Stan obecny jest nie trwały i trzeba przewidywać przewrót.

We Włoszech jeszcze nie ma dekretu, zwołującego wyborców; ruch jednak się już rozpoczął. Kandydatury opozycyjne są rzadkie i wątłe. O kandydatury urzędowe ubiegają się liczni współzawodnicy, jeden nad drugiego przechwala się swym crispizmem, a okłamuje wyborców obietnicami miejscowych parafialnych dobrodziejstw. I materyalne też przekupstwo znajduje się w rozkwicie: fundy i napiwki jednają głosy jeszcze przed rozpoczęciem się właściwego ruchu wyborczego. Tak uwijają się żywioły, dla których interes na polityce czy na handlu, na sławie czy na władzy, jest celem życia; wogóle panuje zniechęcenie, zobojętnienie, apatya. Skorzysta z niej Crispi, mając już teraz zapewnioną ogromną większość, skorzysta i Watykan przez nowe powtórzenie hasła *ne elettori ne eletti*, które wobec spełnianej niegodziwości będzie miało za sobą racyę rozumną, konkretnie ścisłą, silniejszą, niż kiedykolwiek.

Zatarg między Norwegią a Szwecyą, zaostrzył się wnioskiem w Stortingu, aby opatrzyć zbrojność kraju, ale go znowu łagodzi postanowienie rigsdagu szwedzkiego, izby drugiej, aby zamiast rewidować unię z lat 1814—5, przejrzeć raczej traktat handlowy, zawarty na stałe z drugą stroną należącą do unii.

Reforma wyborcza w Przedlitawii doczekała się uchwały podkomitetu, że mają być wprowadzone dwie nowe kurye: jedna z 5-guldenowców, druga z robotników i ludzi wogóle niepłacących wcale podatków.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Akt V *Koryolana* Shakespearowskiego. — Scena balkonowa z trag. *Romeo i Julia*. — *Dzień feralny*, obrazek sceniczny Jordana. — *Doktór z musu* (Le Médecin malgré lui) Moliere'a.

Shakespeare'a można nie grać wcale, można grać i źle, ale wolno go grać tylko dobrze. Jeden z najtrudniejszych, *Koryolan*, potrzebuje i żywych sił scenicznych, i środków zewnętrznych potężnych. Właśnie ten akt V-ty, który p. Ładnowski we własnym układzie wybrał dla siebie i dla p. Rakiewiczowej na poranek benefisowy swego kolegi, p. Wł. Szymanowskiego, reżysera dramatu i komedyi — bez wystawnego ośrodka myśli i namiętności indywidualnych, przy najlepszych nawet siłach żywych nie sprawi wrażenia. Majestatyczna scena błagalna matki i żony, kołaczących do dumy Koryolana o litość nad Rzymem — musi być, nietylko doskonale odegraną przez działające w niej osoby, ale i doskonale wcieloną w świat zewnętrzny, w tłum i przestwór. Wszyscy powinni grać dobrze, i wszystko, co ich otacza, powinno treści przez nich rozwijanej kornie się poddawać, rzetelnie jej służyć.

Benefisowe przedstawienie było przedewszystkiem aktem koleżeństwa. Chciano dać coś w szlachetniejszym stylu a nieznanego jeszcze w Warszawie: niechaj obcy jej jeszcze *Koryolan* w ostatnim przynajmniej akcie pokaże swą wspaniałość. Zamiar dobry, chęci jak najlepsze — skutek tylko zawiódł. I siły zbyt mdłe na takie potężne objawy ducha, i środki zewnętrznej wystawności maluczkie w porównaniu z ogromem zadania. Wolsków tu nie było, Aufidiusza nie było, Rzymu nie było — nawet na dekoracyi; był tylko przebłysk Volumnii w pani Rakiewiczowej i zacne usiłowanie w p. Ładnowskim. Ale do Koryolana, do Rzymu, do przestworu takiego, w jakim żył Shakespeare twórczą myślą swoją — jakże daleko! Co by się stało z całością, gdyby się na nią odważono?

W scenie balkonowej z tragedyi *Romeo i Julia* porywczość p. Marcello, będąca jej temperamentem scenicznym, rozszarpała biedną Julię Capulet. Rozmarzenie, pałające z samych słów Shakespeare'a, od tchnienia tego nieszczęsnego temperamentu pierzchnęło gdzieś bez śladu; została jakaś hyperestezya nerwowa, Modrzejewska przesadzała niekiedy w liryzmie: p. Marcello wcale na jego ton głosu nastrajać nie chce. Zdaje się jej, że z namiętnych wybuchów, właściwych w rolach kobiet unieszczęśliwionych przez namiętność — złoży rolę Julii. Dobrą była tylko niecierpliwość w szybkiem tempie podczas nawoływań mamki, domawiająca to, co w sercu jeszcze drżało. P. Ładnowski miał głos tak sztucznie rozrzewniony, że przestawał być Romeem i był tylko aktorem w roli Romea, torturującym swój głos.

Obrazek Jordana, bez wybitniejszej indywidualizacyi charaktorów, bez zalet wiersza, trzymającego się tylko na niezbędnym poziomie, dzięki przecież talentowi, dowcipowi i szczeremu nieraz humorowi autora — wywarł dobre wrażenie na publiczności i nawet krytyce podobać się może.

Właściwie jest to dyalog starzejącego się kawalera z młodą wdówką, baronową. Znali się oni niegdyś jeszcze dziećmi i później, gdy dzieciństwo rozkwitło już w młodość. W tej drugiej epoce znajomość ich była dość zajmującą. Pan Jan kochał się w przyszłej wdowie po baronie; przyszła wdowa byłaby pewno została jego żoną, bo go lubiła, gdyby nie baron, za którego ją rodzice wydali, a ona sama wydać się pozwoliła.

Po dziesięciu latach owdowiawszy, przypomina sobie swego sąsiada, konkurenta—

8)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 13.

W miarę jak wieczór dolewał mroków do przestrzeni, powietrze w niej coraz bardziej mętniało, a wreszcie napełniła się ona czarnością, w której przedmioty i ludzie tonęli niby bezkształtne kawały cieniów. Prócz gwiazd na niebie żadne inne światło nie padało na ruchliwe i szemrzące rojowisko Moronów. Krzątali oni się, szeptali między sobą, ale ostrożność nie odstępowała ich i przygniatała wszelkie żywsze głosy. W miejscu, gdzie wąwoz rozparł góry szerzej i zatoczył rozległe koło, na środku doliny kapłani postawili wyniesioną z namiotu świętą skrzynię, którą pokryli czerwonym obrusem wełnianym. Pośoli naokoło niej zebrali się wszyscy dorośli mężczyźni, których opasały kobiety i niedorostki szlakiem powyginanym na stopach podnóża gór. Z namiotu, będącego wędrowną świątynią, wyszedł Moron z posągiem Jama w ręku i postawił go na ołtarzu.

Moron.

Módlmy się do boga sercami.

Wraz z nim wszyscy podnieśli ku niebu blade twarze. Usta ich lekko drżały, w wilgotnych oczach migotały iskierki odbitych światełek nocy, skrzyżowane ręce spoczywały na piersiach. Ukończywszy tę niemą modlitwę, Moron rozpoczął stłumionym głosem uroczystą pieśń, którą lud pochwycił i śpiewał chórem tak przyciszonym, że nawet góry żadnego echa od niej oderwać i powtórzyć nie mogły. Była to pieśń, błagająca u boga opieki i pomocy. Wznosiła się ona z ziemi na skrzydłach szerokich i miękich, rytmem powolnym, melodyą głęboką, wzruszającą.

Arjos, który siedział w namiocie zesztywniały bólem, z głową na piersi zwieszoną, usłyszawszy pierwsze tony śpiewu, wyprostował się. Na twarzy jego rozlał się rzewny uśmiech.

Arjos.

Moja pieśń... którą dla nich wygrałem na strunach, rozpiętych między niebem a ziemią... Dlaczego oni ją dziś śpiewają, czemu tak późno? Czy przed nimi stanęło widmo niedoli, czy im zgryzota zdarła sen z powiek, że proszą boga o ratunek? Może on rozświecił ich sumienia nagłą błyskawicą swego gniewu? Może bóg nie jest takim, jakim go Moron przedstawia, ale jakim go dusza moja wymarzyła. Ojciec, nie Pan. O, tak...

Śpiewa.

Tyś nas nie stworzył tylko rozumem,
Ty nie stworzyłeś nas tylko wolą
I nie stworzyłeś nas tylko mocą,
Lecz tyś nas stworzył także miłością,
Więc bądź nam ojcem.

Gdy głucho szemrzący chór umilkł, w piersi Arjosa zaczął płakać smutek, który mu się wylał przez oczy potokami łez, a przez usta wydobywał się łańcuchem ciężkich westchnień.

Czy znowu zasnęli? Po co śpiewali tę pieśń? Czy Moron chciał nią mnie rozczulić albo udręczyć? Bo przecież skoro mnie przeklął i obiecał ukarać więzieniem, nie powinien pozwolić, ażeby lud moim hymnem się modlił.

Wytężył słuch. Cisza szybko oczyszczała się z wszelkich odgłosów. Już zrzadka tylko

może dopiero po wyczytaniu jego nazwiska w rubryce „Przyjechali do Warszawy,“ a może już i przedtem—i zaprasza go do siebie. Szlachcic, cały zakopany w burakach, kartoflach, wołach i „świnkach“—przychodzi o 9-ej wieczorem, mając o 10-ej wyjechać. Zawiązuje się rozmowa, z początku nieskładna, później coraz gładsza, aż wreszcie rozbudzają się uśpione w sercach wspomnienia. Baronowa z rozpiętemi żaglami płynie śmiało do portu szczęścia; on, jakby cierpiący romantyk, samej wzmianki nawet o młodości i jej nieodstępnym towarzyszu, kochającem sercu, unika. Tak to dawno było, tak dawno! Nowe życie zmyło dawne błyszczące kamyki; dziś praca i praca! Z dawnych ludzi, ze znajomości baronowej, nikt prawie nie został: „jednych grzecznie powypraszał komornik z wiosek, innych ksiądz proboszcz powyprowadzał na tamten świat; reszta—siędzi jak mysz pod miotłą.“

Ale został jeszcze p. Jan, i on jeden starczy za wszystkich zmarłych i żywych. Myśl, ślizgając się po przeszłości, napotyka w niej scenę kulminacyjną, kiedy panna, spadłszy z bułanka, znalazła zbawcę w panu Janie, a p. Jan, biorąc ją za omdlałą, pocałował w czoło. Teraz dopiero po dziesięciu latach, okazuje się kunszt miłosny panienki: udawała tylko zemdlenie, a to przyznanie się do winy, daje wdzięczny, wesoły moment obrazkowi. P. Jan gorąco spowiada się ze swoj miłości i złorzeczy niewiernej, która mogła taką „małpę,“ jak baron, wziąć sobie za dozgonnego towarzysza. Oboje ocalają jeszcze swą miłość własną przez udanie, iż wszystko co jedno drugiemu powiedziało, było tylko żartem. On zapomina papierów, potem laski: wraca się raz i drugi; mógłby jeszcze zdążyć na kolej, ale baronowa popchnęła skazówkę zegara: dziesiąta już bije. Wyjazd dyabli wzięli; szlachcic zostanie—na postnej kolacyi. Dzień podwójnie feralny: bo i post i sidła kobiece. Sidła w każdym razie lepsze od postu.

Pani Ludowa i p. Leszczyński byli tą parą, sprowadzoną znowu na drogę wspólnego przeznaczenia. Obrazek nie mógł być źle zagranym; tylko artystka, taka wybitna na naszej scenie, potrzebuje już umyślnej staranności w *robieniu twarzy* młodych wdówek; jej młodość sceniczna jest już zbyt widocznie podrabianą.

Farsa molierowska, dzięki p. Frenklowi, który umiał bez przerwy ożywiać ją wesołością Sganarelle'a, oddając wybornie jego tchórzostwo, gburowatość i czelność—wzbudzała szczery śmiech w sali teatralnej. Molière dopuścił się w tym *Médecin* pobulanki—w wyższym jeszcze stopniu niż w *Le malade imaginaire*, drwiąc sobie już w zupełnem rozpasaniu z ówczesnych medyków, których na równi z prawnikami nienawidził. Komedya jego jest właściwie włoską *Commedia dell'arte* i z rodzajem poważnym nic nie ma wspólnego. Molière'a głębokiego, a wszechludzkiego—nikt tu szukać nie będzie; jest tylko pisarz wesoły, dowcipny — jakby improwizujący na estradzie dla rozśmieszenia publiczności—istny arlecchino z piórem w ręku. Doskonała jest jakby nasza chłopska scena, w której żona, obita przez męża, wywdzięczając się sąsiadowi za pożałowanie, okłada go kijem. W tem jednem widać obserwatora dziwactw ludzkich. Zresztą domyśleć się trudno, że to pisał autor *Mizantropa*, *Szkoły kobiet* i *Świętoszka*.

Farsę wogóle dobrze odegrano. Warszawa widziała ją już przed 113 laty w pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskiem.

Stanisław Krzemiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— We Lwowie zaczęło wychodzić pierwsze w języku polskim pismo fachowe, p. t. *Koło*, jako organ klubów cyklistów lwowskiego i krakowskiego.

— W Paryżu zaczęło wychodzić nowe pismo (miesięcznik) p. t. *Le Devenir social*, które będzie międzynarodowym przeglądem ekonomii, historyi i filozofii.

— Dyrekcya „Teatru nowości,“ która powstaje na miejscu „Bele-vue“ w Warszawie, ogłasza konkurs na farsę polską z kupletami, w 4-ch lub 5-u aktach. Pierwsza nagroda rs. 150 gotówką i 10% od dochodu brutto z przedstawienia sztuki. Druga — rs. 75 i 8% od takiegoż dochodu. Termin upływa d. 1 stycznia 1896 r. Prace nadsyłać należy na ręce p. Feliksa Kwaśniewskiego, Nowy Świat 44.

— Akademia Umiejętności w Krakowie przyznała nagrody główne z fundacyi Barczewskiego: historyczne: Władysławowi Mickiewiczowi z Paryża za 4-tomowe dzieło „Żywot Adama Mickiewicza.“ Artystyczne dwie: Henrykowi Siemiradzkiemu za kurtynę dla teatru krakowskiego i Józefowi Brandtowi za obraz p. t. „Modlitwa ormian.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ANGLII I O ANGLII.

II.

Oskar Wilde i jego apostolstwo piękna. — Protest przeciw manii płciowej w powieści. — Upadek dziennikarstwa i poczucia odpowiedzialności.

Dzieło Nordau'a p. t. *Zwyrodnienie*, które świeżo ukazało się w przekładzie angielskim, przedziwną zaiste znalazło reklamę w uwięzieniu jednego z najzdolniejszych dramatopisarzów tutejszych, Oskara Wildego. Niedawno jeszcze popularny autor, główny szermierz przeciw „filisterstwu w życiu i literaturze,“ twórca szkoły całej i bodaj czy nie główne źródło natchnienia dla „najmłodszej Anglii,“ znajduje się dziś za kratkami więziennemi, oskarżony o przekroczenie moralności publicznej. Dnia 3 kwietnia rozpoczął on główne dochodzenie sądowe przeciw margr. Douglas-Queensberry, oskarżając o potwarz i oszczerstwo. Po upływie kilku godzin oskarżający został oskarżonym, a gdy wyrok sądowy wręczył margrabiemu świadectwo obywatelskości za to, że w interesie dobra publicznego piętnował bezecne życie jednego z najbardziej popularnych pisarzów, losy Wildego rozstrzygnięto. Straż bezpieczeństwa osadziła „apostoła piękna“ w więzieniu, skąd zaprowadzą go zapewne wkrótce na „ciężkie roboty.“

Zbrodnia, o którą Wildego oskarżono, jest, zdaniem naszem, najmniejszem jego przestępstwem, tylko chorobliwym objawem i wywodem wszystkiego, co pisał i co mówił. Przez dziesięć lat kpił z „filisterstwa natury,“ prawił o tem, że pojęcia „naturalne“ i „nienaturalne“ są wytworem umysłu kramarskiego. Czem jest natura?—pyta Wilde. Nudną mieszczanką — odpowiadał sam otaczającej go gawiedzi. Zachwyt ogarniał całe Piccadilly, gdy Wilde niegdyś powiedział, że przecież raz zachód słońca był piękny, bo pani przyroda zaczęła naśladować obrazy Turnera. „Jestem—wołał — pięknym; tworzę i uosabiam piękno. Podziwiajcie i naśladujcie mnie, a pojmiecie piękno.“ W wieku reklam pigułek Beechama i Homocei jako środka

---

odzywały się w niej krótko ucięte nawoływania, pospieszne rozmowy, stuków kopyt i przeciągłe stękanie bydła. Nareszcie zdawało się Arjosowi, jak gdyby w jednej chwili zabrzmiał ruch masy nóg ludzkich, który powoli zamienił się na niewyraźny szum i rozwiał się w ciszy. Nie mogąc związanemi rękami otworzyć namiotu, Arjos zawołał.

Idalu!

Młody chłopiec, stojący na straży, wetknął głowę.

Idal.

Czego chcesz?

Arjos.

Jeżeli Moron nie kazał mnie udusić, to uchyl zasłonę namiotu, bo mi już powietrza zbrakło.

Idal.

Nie zabronił, więc ci otworzę.

Arjos.

Czy dokąd wyszli?

Idal.

Nie.

Arjos

Czemu śpiewali?

Idal.

Dziś pełnia księżyca, kapłani zwołali ud na modły.

Arjos.

A wiesz, czyja to pieśń?

Idal.

Twoja, Arjosie.

Arjos.

Nie wierzę temu. Czyżbym ja tu siedział skrępowany, gdybym ułożył hymn miły bogu i ludziom? Mylisz się...

Idal.

Nie, znam inne twoje piosenki—śliczne.

Arjos.

Ty, któremu mnie pod straż oddano? To nie są moje, zapewne jakiś inny Arjos je dla was ze swego serca wydobył.

Idal.

Podobno wyparłeś się naszego rodu i boga, a teraz wypierasz się nawet pieśni własnych!..

Arjos.

A więc przyznam się do tych dzieci duszy mojej, bo widzę, że je lubisz, tylko ich ojca nienawidzisz.

Idal.

Tego nie powiedziałem. Przeciwnie, żal mi cię, Arjosie. Kiedy lud śpiewał twoją pieśń, a ty siedziałeś tu uwięziony, jak złoczyńca, śliny na łzy mi się zamieniły. Ale ty będziesz wkrótce wolny.

Arjos.

Nie.

Idal.

Czy rzeczywiście bardzo przewiniłeś?

Arjos.

O tak.

Idal.

Cóżeś zrobił?

Arjos.

Kocham.

Idal.

Kogo?

Arjos.

Wszystko jedno — kocham.

Idal.

Alboż to grzech?

Arjos.

Jeden z największych—jeżeli ci nie pozwoli arcykapłan, ojciec, matka, brat, ród, wół, koń, baran, pies — wszystko, co cię otacza. Rzeknij: nienawidzę — nikt cię nie zapyta, kogo i za co. Ale rzeknij: kocham—natychmiast zgromadzą się koło twego serca, zaczną w niem grzebać, badać, oglądać i albo wszyscy, albo choćiaż jeden oświadczy, że na twoją miłość się nie zgadza. Serce ludzkie nie pyta nikogo o radę, a każdy mu ją daje, ono nie słucha za-

na migreny, takie bezwstydne samochwalstwo, taki bezgraniczny egotyzm zwraca na się uwagę i ściąga tłumy wielbicieli. Wilde znał „swoich Pappenheimerów,“ swój kraj i swą publiczność i do ostatniej chwili trzymał się taktyki „miedzianego czoła,“ z daleka błyszczącego jak złoto, przed którem korzą się całe społeczeństwa.

Oskar Wilde, ten wróg filisterstwa, pierwsze swe tryumfy zawdzięczał mianowicie zaczepionemu przezeń „mieszczaństwu.“ Urodzony w Irlandyi, kształcony z początku przez matkę, która była „poetką fenianów,“ później w szkołach dublińskich, wreszcie jeden z lepszych wychowanców Oksfordu i młody Wilde zjawił się na bruku londyńskim w chwili, gdy zaczęły się wytwarzać nowe prądy i gdy jednocześnie popyt na nie był już wcale pokaźny. Jako pierwszorzędny talent, żywego nadto temperamentu, Wilde rzucił się do walki przeciw filisterstwu, ale jednocześnie bezdenny w swej próżności znalazł zaraz metodę pisania, która uzyskała niesłychaną wziętość. Wysoki, pełen zdrowia i sił fizycznych, bystry, zajął miejsce modnej wyroczni, przemawiającej do narodu w krótkich błyskotliwych paradoksach i epigramatach. Anglia mieszczańska—w niej wszyscy są mieszczanami—tak się szybko zaprzątnęła pracą i rynkami, że zapomniała rozmawiać. Otwarte usta szeptały tylko przez sześć dni ceny giełdowe, a w niedzielę psalmy i ustępy z ewangelii. I oto pojawił się prorok, który w krótkich frazesach dobitnie i radykalnie przewracał wszystko do góry nogami, boksował kramarskie sumienia i rzucał zasadami moralności jak piłką w palancie. O tem, że te paradoksy są już bardzo oklepane, że pochodzą z drugiej ręki—publiczność angielska nie wiedziała. Podejrzywając zawsze literaturę francuzką o niemoralność, przeciętny syn Albionu po cichu uwielbia „wietrzność francuzką,“ do której tem bardziej wzdycha, że jej naśladować po ludzku nie umie. Ale Wilde był celtem; irlandczycy wogóle słyną w Anglii ze swego „badinage“ i „persiflage“ i pomimo walki o home rule, mają zawsze tłumne koło wielbicieli z anglo-saksów. Krótkie przytem epigramaty są cenione na wagę złota w kraju, gdzie „czas to pieniądz.“

Wilde zaczął głosić wiarę „sztuki dla sztuki, piękna i wrażeń dla wrażeń.“ Jednocześnie dodawał on: „jam piękny,“ a całe rzesze przyklaskiwały mu, po cichu się upajając zapewnieniem o własnem jego pięknie. Każdy głupiec sądzi, że dosyć innych okrzyczeć za głupców, aby samemu zająć miejsce w szeregach mędrców. To też nie dziw, że Wilde bardzo prędko znalazł powodzenie wśród tych, którzy go wzięli za swego zbawiciela.

Przytem zapanowała dziś moda, aby napadać na filisterstwo. Jedni czują się pokrzywdzeni, inni występują przeciw filistrom dlatego właśnie, że ci przedstawiają prawidłowy żywioł współczesnego życia społecznego. Około Wildego ugrupowała się zatem liczna rzesza zapoznanych; za nimi stanęła cała złota młodzież, której wczesne wstawanie filistra budzi nieprzyjemnie. Wreszcie wszyscy dorobkiewicze, którzy już patrzą z góry na pracujące jeszcze rzesze i przedewszystkiem uganiają się za maską oryginalności, aby pod nią ukryć swe pochodzenie. Zaczęto osypywać Wildego wieńcami i złotem. „Apostoł piękna,“ który wciąż skarżył się na „mieszczaństwo,“ miał olbrzymie dochody, żył w niezmiernym zbytku. Każda jego skarga, każda napaść na filistrów opłacała się znakomicie. Rezultatem powodzenia poety był upadek człowieka; Wilde doszedł w rzeczywistości do... celi więziennej.

W pierwszej chwili przerażenie ogarnęło obóz młodych pisarzy. Radykalny organ *Daily Chronicle* tak dalece się zapomniał, że nie czekając sądu, zaczął nawoływać do „niszczenia trucizny“ i wzywać na pomoc zasady chrześciańskie, oraz... równouprawnienie kobiet przeciw „pogańskim wykroczeniom.“ Wolnomyślna *Westminster Gazette* z zimniejszą krwią protestowała pojęciom Wildego o sztuce. Organy zachowawcze, które nigdy nie popierały „oryginalności“ Wildego, pogardliwie zamilczały o całem tem brudnem i nieszczęsnem zajściu. Protestanccy świętoszkowie postanowili „wymazać nazwisko jego z listy żyjących“—i doszli do szczytu hypokryzyi. Dyrektorowie teatrów uchwalili opuścić imię autora na afiszach, ale zatrzymać w repertuarze jego sztuki, które się opłacają. Przeciw temu kramarstwu powstał już protest. Jesteśmy przekonani, że wkrótce sztuki same upadną, bo rozwaga wykaże całą ich czczość.

Nie ma obawy o reakcyę w literaturze, która w Anglii okazałaby się bezsilną, gdyby chciała wystąpić zaczepnie. Byłoby wszakże do życzenia, aby napadanie na filistrów wyszło już z mody. W Anglii mianowicie mieszczaństwo, wychowane w polityce ustępstw i przystosowywania się do nowych dążności, nie jest wcale wrogiem nowych kierunków zarówno w polityce jak i literaturze. Społeczeństwo więc żadnych korzyści nie wynosi z tego krzykliwego pochodu na mieszczaństwo, pochodu, którego chorążowie są zapoznane wielkości z młodego obozu, nie mający nic innego do powiedzenia prócz swych mizernych cierpień, niezaspokojonych pragnień i t. p. dziejów schorzałej duszy.

Trzeba zaznaczyć, że już przed zajściem z Wildem zjawiły się protesty przeciw pewnym nadużyciom, zabagniającym obecnie literaturę angielską. Przedewszystkiem mieliśmy szereg protestów przeciw manii płciowej w beltrystyce. Obrona miłości przed więzami społecznymi, prawnymi lub obyczajowymi bynajmniej nie jest nowością. Tendencyjna literatura w kojarzeniu się zakochanych par, jest równie stara jak powieść, a co się tyczy praw miłości, to te miały już rycerzy w pełnej zbroi podczas narodzin piśmiennictwa europejskiego. Jedna z pierwszych książek, drukowanych w Europie, była właśnie obroną uczucia według zasad trubadurów, streszczonych przez Andrzeja Kapelana—(Andreas Capellanus). Otóż kapelan papieża Innocentego IV w swym *Tractatus amoris et de amoris remedio* ustanawia teoryę i prawa miłości. Kardynalnem prawem jest zasada, że „miłość miłości niczego odmówić nie może“; żadne więc więzy jej nie krępują, nawet małżeństwo. Taką była teorya już w XIV wieku, pomimo że pojęcie małżeństwa jako sakramentu, było powszechnem wtedy w świecie chrześciańskim. Dziś małżeństwo w Anglii jest urządzeniem wyłącznie świeckiem, jednocześnie państwowem i z dziedziny prawa cywilnego; kontraktem, którego spełnienie obchodzi nietylko jednostki, ale i porządek społeczny. Jak każdy kontrakt, małżeństwo nietylko nie stanowi kajdan, ale przeciwnie, obronę słabszych: żony i dzieci. Jak wszelki kontrakt i małżeństwo ulega zmianom, ulepszeniom, głównie—jeśli nie jedynie—skierowanych na korzyść słabszej strony. Jakże więc małżeństwo-kontrakt może być przeszkodą dla uczucia, jego wrogiem i grobem zarazem?

Dotychczas mówimy tylko o *licentia poetica*, której sobie pozwalają noweliści w ocenie umowy małżeńskiej. Ale są inne przyczyny, dla których należy potępić manię płciową w powieści. Ostatecznie w życiu przeciętnego obywatela kraju miłość gra bardzo małą rolę i nie stanowi wcale tego kłopotu, od którego włosy siwieją. Dziesiątki innych uczuć zapełniają życie; setki innych zadań niż te, które są

---

dnych praw, a podlega najliczniejszym. Nie ukarzą cię, gdy zjesz grzyb trujący, gdy wyłupisz sobie oko lub odetniesz palec, nie ukarzą cię nawet, gdy kogoś w walce skaleczysz lub w złości skrzywdzisz, ale ukarzą cię, gdy kogoś ukochasz. Otóż i ja jestem zbrodniarzem.

Idal.

Zapewne wybrałeś sobie dzieweczkę z Mirów.

Arjos.

Co ty bredzisz? Ja jej wcale nie wybierałem. Przed wiekami bóg, który, stwarzając człowieka, przykazał, ażeby słońce ogrzewało ziemię, ryby pływały w wodzie, zwierzęta wychodziły z łona matek, a ptaki z jaj, przeznaczył również dla mie Orlę. Przyprowadził mnie do niej wysłany przez niego duch i powiedział: ta twoja. Czy mogłem mu odrzec: nie chcę jej — kiedy serce powtarza mi odtąd ciągle: ta twoja? Nikt nie zrozumie, jak ona jest moja! Nie pomaga ten otwór w namiocie — duszę się. Gdyby wszystko powietrze przestrzeni wparło mi się w pierś, nie mógłbym już swobodnie odetchnąć, bo tylko ona jest mojem powietrzem. Ach, ilo ja cierpię! Jak po zachodzie słońca jadowite płazy wysuwają się ze swych nor, tak z kryjówek duszy mojej wyłażą kąsające bóle, gdy od niej się oddalę. Zdaje mi się teraz, że wszystkie upiory zleciały się tu i wydarłszy mi serce, podają je sobie z rąk do rąk, odrywają z niego zębami kawałki, a ono w ich paszczach po każdem odgryzieniu przyrasta i staje się coraz większem. Zamknij namiot, Idalu, bo jej nie widzę. Gdy zostanę sam i zapuszczę powieki, z początku w czarnej przestrzeni migają mi różnobarwne światełka, które powoli bledną i nikną, a wtedy zjawia się ona. Ale nie, nie, przecież ona jest moją żoną, już nie dość mi oglądać ją w marzeniu! Od wczorajszej północy jestem z nią rozłączony: ileż mi przepadło jej widoków, spojrzeń, uśmiechów, pieszczot! Tej straty już nie odzyskam, sam bóg mi jej nie wynagrodzi, bo nawet on czasu nie rozciągnie. Ale czy ja ją jeszcze zobaczę, czy z nią szczęśliwy żyć będę? Co — nie? Kto tak postanowił? Kto miał prawo tak postanowić, jeśli bóg ją dla mnie stworzył? Moron? Gdzie on jest?

Idal.

Nie wiem.

Arjos.

Czemu ty drżysz? Przed jego władzą, czy przed jego cierpieniem? Cierpienie jest chyba większe od władzy—prawda? Każdy zły sen o niej był dla mnie straszną męczarnią, bo w nim odgadywałem złą wróżbę; a teraz muszę znosić gorszą od snów rzeczywistość! To też chory jestem, bardzo chory, mój Idalu. Myśli kraczą mi w głowie jak kawki. Czasem znowu rozpadam się na części, które leżą lub stoją osobno i nie chcą się złożyć. Czy ja teraz jestem cały? Powiedz mi otwarcie, przecie w tem nie ma nic złego. Och, twarz coraz bardziej skręca mi się w przeszłość, ciągle patrzę po za siebie. A tak patrzą tylko nieszczęśliwi. Więc Moron teraz spi, on, który moją czystą miłość usiłował zgwałcić, spi spokojnie? To niepodobna! On tylko udaje, jego sumienie jest workiem bazyliszków, które wiją się, syczą, kąsają go. Czy on może teraz spać?

Idal.

Nie.

Arjos.

A widzisz, że i ty tak sądzisz, chociaż on cię nie oddarł od kochanki i nie uwięził. Niech się męczy i niech w katuszy przeżyje cisy, które dopiero wczoraj z ziarna wykiełkowały. Ja będę szczęśliwszy od niego. Bo jeżeli nawet tu umrę, nie ujrzawszy Orli, i jeżeli ciała nasze spoczną w innych grobach, moje zamieni się na lekki

wynikiem ze stosunku dwu płci, zapełniają życie pojedyńczego członka kraju. Prawdziwą osią, około której się to życie obraca, jest współżycie społeczne. Tymczasem literatura, zamiast przygotowywać obywateli do tego, otwiera na oścież wszystkie alkowy i wystawia na pokaz namiętności, łaknące zaspokojenia. Nawet zagadnienie „nowej kobiety" ostatnimi czasy sprowadzono do kwestyi płciowej.

Nie dziw, że wobec tego rozwinęło się rzemiosło „robienia romansów" farbą drukarską do zatrważających rozmiarów. Prawie każdy z wydawców ma dziś kilka „seryj nowel"; wszystkie miesięczniki popularne zalane powieścią. Dawniej *Magazine* był popularnym naukowo-literackim przeglądem; dziś wszystkie artykuły ustępują miejsca powieści—tak dalece, że nowe *magazines*, nie związane z tradycyą, są już zupełnie powieściowe. Nowela opanowała nawet czasopisma polityczne. Tak zwane *niedzielne* gazety mają już wszystkie powieści; nawet je drukuje tygodniowe wydanie *Times*'u. Popularne gazety codzienne, które dawniej były chlubą Anglii i dowodem jej świadomości politycznej, dziś głównie są poświęcone sportowi i powiastkom. Wydawcy skarżą się, że dawniej tak poczytne wydawnictwa wychodzą z mody. Rozpoczęte przez Swan i Sonnenscheina „Wydawnictwo nauk społecznych" wkrótce będzie zawieszone; wydawana przez tę samą firmę „Anglia społeczna" leniwie postępuje naprzód (dotychczas ukazał się zaledwie jeden tom o trubadurach).

Jednocześnie czasopisma — szczególnie w Londynie—zaczynają tracić swe moralne znaczenie i nie wywierają wpływu poważnego na ludność. Wobec wyrodzenia się dziennikarstwa brak oddziaływania tego ostatniego jest zresztą pocieszającym objawem. Niemniej cierpi na tem ogólny ruch społeczny, który nie umie znaleźć odzwierciedlenia swych potrzeb. Dawne zaufanie upada, a z drugiej strony zanika i uczucie odpowiedzialności wśród *leaderów* politycznych. Dowodem jest zupełna bezowocność prac komisyi królewskiej, wyznaczonej dla zbadania położenia „biedaków-starców" (*aged poor*). Komisya, do której weszli wybitniejsi politycy, składała się z kilkunastu członków; gdy przyszło do złożenia wniosków, okazało się, że jest aż siedem sprawozdań, siedem apteczek i siedem metod leczenia. Nikt z panów komisarzów nie chciał przystosować swego widzi mi się do zasady reformy i oto dlaczego utworzyła się większość bierna, która dała za wygranę i obstaje przy *status quo*. Nie lepiej się dzieje „u dołu," a szczególnie w tak zwanym nowym tradeunionizmie, który tak świetnie się zapowiadał lat temu dziesięć. Dziś te nowe związki zawodowe prawie wszystkie zbankrutowały, a dwaj leaderowie robotniczy, Ben Tillet i poseł J. H. Wilson, oskarżeni są o liczne nadużycia. Pomimo to zainteresowana opinia publiczna nie daje znaku życia. *Leader* przestał być moralnym wodzem; jest on tylko koniem wyścigowym, na który postawiono różne stawki.

Wobec takiego nastroju każdy niemal objaw, wymierzony przeciw lekkomyślnym przesadom tak zwanego ruchu postępowego, jest dziś dodatnim zjawiskiem i środkiem ochronnym dla ewolucyi społecznej. Wykazaliśmy wyżej, że przecząca reakcya jest na dziś niemożliwą w Anglii; może ona wszakże wybuchnąć żywiołowo, gdy obóz młodej Anglii pozwoli nadal krzykliwym pawiom być wyrazem nowych dążności.

W. Nadolski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 5 maja.

Proces Leista i literatura tego procesu. — Przekłady Carlyle'a.

Proces kanclerza kameruńskiego, Leista, rozstrzygnięto w z. miesiącu w najwyższej instancyi sądu państwowego w Lipsku. Już w roku przeszłym, kiedy w prasie niemieckiej pojawiły się pierwsze oskarżenia o jego okrucieństwo względem ludności afrykańskiej, podaliśmy obraz tych stosunków, a następnie, kiedy wydział kolonialny ministeryum spraw zagranicznych osadził krwiożerczego asesora na ławie oskarżonych, opowiedzieliśmy szczegóły. To nas uwalnia od drobiazgowej opowieści ostatniego aktu tego dramatu. Udowodniono, że Leist przekroczył granice swej władzy, że bezprawnie i bezprzykładnie poddał chłoście kilkadziesiąt dahomejek — co wywołało powstanie ludności tubylczej, i że kobiety osadzone w więzieniu używał „prawem kaduka" dla celów własnego gospodarstwa miłosnego. Leist w obronie powoływał się na przykład swych poprzedników. Wydział kolonialny cesarski zebrał w tym celu ankietę u gubernatorów Afryki niemieckiej, którzy jednogłośnie odsądzili Leista od czci i wiary. Sam rząd w akcie oskarżenia nazywa chłostę niewieścią „okrutną i wstręt budzącą." Wyrokiem pierwszej instancyi postanowiono Leista przenieść na inne miejsce. Władza (a przed nią jeszcze opinia) była z tego niezadowoloną i apelowała wyżej, żądając sądowej dymisyi dla niegodnego urzędnika. Oskarżony w swej mowie powoływał się znowu na ogólny zwyczaj afrykański oraz na wpływy klimatyczne, które wyprowadzają świadomość czynu z równowagi i spokoju. Sąd państwowy nie uznał tych dowodów za wystarczające i przychylił się do życzenia strony oskarżającej: skazał bowiem Leista na pozbawienie urzędu (bez prawa otrzymania innego) oraz na zapłacenie kosztów procesu, pozostawiając mu jedynie połowę dotychczasowej pensyi na trzy lata. Honor dahomejek pomszczony!..

Z powodu tego procesu, który przez kilkanaście miesięcy trzymał w naprężeniu opinię publiczną, szczególnie zaś sfery z wydziałem kolonialnym związane (urzędnicze, oficerskie, inteligencya stanowa), ukazał się szereg prac ulotnych, poświęconych położeniu negrów afrykańskich i traktowaniu ich przez kolonizatorów niemieckich. Autorami przeważnie są oficerowie, którzy brali udział w wyprawach. Wszystkie te rozprawy i broszury (Giesebrecht, v. Schweinitz, Herold, Richelmann) odznaczają się ciągle tym samym powiewem głębokiej humanitarności i poczucia wielkiego obowiązku w teoryi. Według przekonania ewe-negrów z wybrzeża niewolniczego, Bóg stworzył ongi ludzi o czarnej i białej skórze i nazwał wszystkich bez wyjątku swemi dziećmi. W istocie więc rzeczy, są oni przekonani o równych prawach ludności tubylczej i napływowej. Pomimo to uznają chętnie wyższość europejczyka, szczególnie jeżeli ten potrafi zyskać ich zaufanie. Sądzą również, że europejczyk otrzymał od Boga księgę, która stanowi talizman jego wyższości—i przyznają skromnie, że nieposiadając, jej muszą pracować. Poddają się z całą pokorą żądaniom kolonizatorów tak długo, jak ci umieją imponować im swem zachowaniem. Te przywileje mają i złą stronę: każdy bowiem czyn zdobywcy bywa i oceniany i krytykowany. Łatwo więc stracić zaufanie. A wtedy nic nie pozostaje nad siłę pięści—co wiedzie znów do smutnych doświadczeń, których widownią aż nazbyt często stawała się Afryka niemiecka w ostatnich czasach.

Wobec takich założeń, pierwszym warunkiem kolonizacyi pomyślnej jest wybór

---

gaz, który wnętrznem ziemi między ziarnkami piasku przeciśnie się do niej. I znowu będziemy złączeni. Aż do tej chwili ściana, oddzielająca nasze groby, drżeć będzie ciągłą zgrozą. Tak! Wokoło cicho, a we mnie podnosi się coraz większy huragan! A ich nic nie budzi? Ród także śpi? Śpi to stado szarańczy, które zbito w kupę mniema, że jest ogromnem, wielkiem zwierzęciem, że całą ziemię brzuchem swym pokrywa, niebo grzbietem rozpiera... Niech śpi, niech mnie zmiażdży, aby tylko mojej Orli nie dotknął... Tak, Idalu, szczęście jest to mały człowiek, a nieszczęście—wielki jego cień.

Idal, który już nie słuchał uważnie ostatnich słów Arjosa, gdyż rozglądał się trwożliwie, wyjął szybko nóż i rozciął mu pęta na rękach, a następnie zranił się głęboko w ramię.

Arjos.

Dlaczego to zrobiłeś?

Idal.

Ród nie śpi, lecz wyszedł cały dla wymordowania Mirów.

Arjos.

Kiedy?!

Idal.

Niedawno. Biegnij co prędzej i ostrzeż ich. Ja powiem, żeś mnie zranił i uciekł.

Arjos.

Poczciwy chłopcze, czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Muszę Tylona uwolnić.

Idal.

Moron uprowadził go z sobą w góry.

Arjos.

Wietrze, zleć tu, zabierz mnie na swój kark i ponieś.

Idal.

Niech ci bóg nogi oskrzydli.

Jak grot rozpaczliwą ręką rzucony, wbił się Arjos w ciemność nocy i przerzynał jej czarną toń. Odrazu zwrócił on się w stronę, która mu najmniej stawiała przeszkód i najprędzej pozwalała wydostać się na równinę. Po przełączach mknął przez góry, odrzucając stopami po za siebie drogę, jak kozioł skalny. Ani razu nogi, dobrym instynktem kierowane, nie zawiodły go w pewnem stąpnięciu, ani razu przepaść nie ukradła mu czasu. Każdą chwilę wypełnił skokiem. Jedną tylko, króciutką, stracił, dobiegłszy do ostatniej, wysokiej krawędzi gór, skąd za dnia mógłby dojrzeć osadę Mirów, a w nocy dosłyszeć mocniejsze jej głosy. Ale nie pochwycił uchem niczego. Cisza opływała ziemię, bez fal niepokoju. Nie ufał jej, ale miał nadzieję, że wyprzedzi swych rodaków, chociaż świdrując ciemny widnokrąg wzrokiem, nigdzie ich dostrzedz nie mógł. Jak kamień stoczony z góry w coraz szybszych i dłuższych podrzutach, spadł na dół. Płaszczyzna, na której jeszcze wczoraj pasły się trzody Moronów, nie groziła mu już żadną zawadą. Ledwie też jej dotykał stopami w wytężonym pędzie, jak jaskółka piersiami wodę. Otucha pokrzepiła mu serce mdlejące w zmęczeniu i trwodze. Już po przez mroki rozpoznaje zarysy siedziby Mirów. Już dostrzega błyszczący pancerz rzeki. . Czy znajdzie czółno? Przepłynie ją. Więc śmieje się, płacze i biegnie...

(D. c. n.)

stosownych urzędników. Pod tym względem tabor biurokracyi kolonialnej pozostawia wiele do życzenia. Kto wędruje do Afryki? Ten zazwyczaj, kto (z powodu grzechów) nie mógł się przyczepić do żadnego z kół machiny państwowej w Niemczech europejskich. Trzeba natomiast urzędników stokroć lepszych umysłowo i moralnie od tych, którzy wprzęgnięci do biurokratyzmu, chodzą pozbawieni indywidualności w deptaku spraw codziennych, jałowych. Tam zaś czeka ich praca nawskroś samodzielna, do której nie sposób stosować szablonu, a wciąż nowe trzeba stwarzać wzory; tam po za wszystkiem, co się czyni dla interesów ojczystych, trzeba z niewolników tworzyć ludzi. Człowiek wstępujący do wydziału kolonizacyi niemieckiej, powinien zaznajomić się z literaturą etnograficzną tych plemion, wśród których działać zamierza; powinien posiadać stały, spokojny charakter i dużo pedagogiczne wykształcenie. „Bat—mówi Herold, mając na myśli heroizm Leistów—w rękach wyższego urzędnika, niechaj służy niejako symbol sprawiedliwych rządów, ale—pogromcy zwierząt.“

W Getyndze rozpoczęto obecnie nowe wydawnictwo dzieł „wielkiego proroka z Chelsea“ — jak nazywano i nazywają obecnie w Anglii Tomasza Carlyle'a — obejmujących specyalnie jego poglądy społeczne i polityczne. Pierwszy tom tych „Socialpolitische Schriften“ zawiera rozprawy o czartyzmie, o neggrach znany pamflet pt. „W dół Niagary a co potem?“ Dzieło rozpoczyna wielki, aczkolwiek sucho i stronnie pisany wstęp (autor zestawia tylko niemieckich filozofów — Kanta i Fichte'go—z Carlyle'm, próbuje wykazać jego zależność od nich); czytelnik tam znajdzie obraz filozoficznego światopoglądu człowieka o którym najwięcej ponoć mówią dzisiaj w Anglii, a po części w Europie. I do nas dochodzą również te sympatye. Przed kilku miesiącami wydana monografia prof. Okolskiego świadczy o tem zajęciu. Niewiele mamy natomiast przekładów Carlyle'a—a już zupełnie nie posiadamy tych, które obejmuje zbiór niemiecki.

P. O. R.

Z GALICYI.

(Dokończenie).

Inną ważną sprawą, która obchodzi Galicyę „w pierwszym rzędzie,“ czyli „pierwszej linii“ — jak się wyrażają u nas dziennikarze— wytoczono przed forum wiedeńskie, trzeba przyznać, z wielkim wstydem i upokorzeniem dla nas. Jest to sprawa polepszenia bytu materyalnego nauczycieli szkół ludowych galicyjskich. Większość, po potrąceniu rozmaitych „obrywek“ na rzecz rządu, pobiera 15—18 złr. pensyi miesięcznie. Jest to dosyć, ażeby z głodu nie umrzeć, lecz mało, ażeby żyć uczciwie. Nie tak dawna śmierć głodowa nauczycielki i poetki, Maryi Bartusówny, narobiła trochę wrzawy. Ale rada szkolna zapomniała o tem. Przedstawiano więc niejednokrotnie sprawę polepszenia bytu nauczycieli ludowych Jaśnie Wielmożnemu Panu Prezydentowi Rady szkolnej, Bobrzyńskiemu; udawano się do sejmu — wszystkie drogi zatem najwłaściwsze i najbliższe, oprócz zachęty do czekania i nadziei, która nic nie kosztuje, nie przyniosły żadnych rezultatów. Doprowadzono tedy tych biedaków do ostateczności. Kilkuset nauczycieli postanowiło zanieść prośbę wprost do Rady państwa, a co smutniejsza, nie za pośrednictwem „Koła,“ lecz posła niemieckiego, Luegera. Punkty tego podania dotyczyły: wywalczenia lepszego bytu, zniżenia lat służby i wprowadzenia systemu osobowo-klasowego. Pominięcie „Koła,“ jako też Rady szkolnej krajowej, nie jest faktem tak na pozór drobnym, jakby się zdawało. Oznacza to, że „Koło“ wiedeńskie nie reprezentuje wcale, a co gorsza, nie broni rzeczywistych, żywotnych interesów kraju. Widzieliśmy przykład tego zachowania: poważne milczenie wobec wybryków p. Bilinskiego; to samo w sprawie nauczycieli ludowych i wielu innych. Właściwie „Koło“ reprezentuje nie interesy polskie i kraju, lecz wielkiej własności ziemskiej i kapitalistów. Nic dziwnego przeto, że ani zaufania, ani sympatyi kraju nie posiada. Ten brak sympatyi i wiary w szczerość przedstawicielstwa wyraził się najlepiej zwróceniem się nauczycieli wiejskich nie do „Koła,“ lecz do Luegera. Naturalnie, wynikł skandal, zaczęto krzyczeć o pokątnej agitacyi, a tymczasem sprawa prosta i czysta, jak kryształ.

Czemże właściwie jest owa Rada szkolna krajowa, która zawiaduje sprawami miejscowemi i obowiązana opiekować się ciałem nauczycielskiem? Na wzór istniejących w Austryi, utworzona w r. 1868, weszła w życie od 1-go stycznia t. r. Na mocy statutu organizacyjnego (z d. 26 czerwca 1867) prezesem Rady jest namiestnik Galicyi. Rząd mianuje ze swego ramienia dwóch radców; na stanowisku tem dziś są pp. Szawłowski i Lanikiewicz. Oprócz tego na urzędzie radców są dwaj przedstawiciele duchowieństwa, pp. Lewicki i Ilnicki, trzej delegaci Wydziału krajowego—Chamiec, Jerzy Czartoryski i Al. Barwinski, wreszcie delegaci miast: Krakowa — St. Tarnowski i Lwowa — Teofil Ciesielski, profesor uniwersytetu. „Funkcyonaryuszami“ Rady jest ośmiu inspektorów szkolnych, czterech dla szkół średnich i tyluż dla ludowych. Właściwymi pracownikami są inspektorowie, na których barkach spoczywa cały ciężar instytucyi, reszta — dygnitarze — robią politykę. Ażeby p. Bobrzyńskiemu dać możność wypłynięcia na szerszą wodę, rząd stworzył osobną posadę: zastępcy prezydenta Rady szkolnej i godność tę ofiarował ex-profesorowi. P. Bobrzyński uważa ją za chwilową i przejściową, coraz też głośniej wzdycha do ministeryum oświaty lub jakiego innego — każde teraz przyjmie. P. Stanisław Tarnowski na stanowisku delegata miasta Krakowa czuwa pilnie nad tem, aby nie dopuścić do pracy i chleba osobistości niesympatycznych dla panów krakowskich, a z historyi literatury najnowszej i z wypisów usunąć starannie najzasłużeńsze nazwiska, ażeby, Boże uchowaj, nikt nie zakłócił harmonii stańczykowskiej. Zgodność panującą w Radzie szkolnej psują od czasu do czasu dwa rozumne głosy — prof. Teofila Ciesielskiego i ks. Jerzego Czartoryskiego. Prawda, zapomniałem był jeszcze powiedzieć, że prof. Barwiński, który także jest członkiem Rady szkolnej, niczem wybitnem nie przypomniał się społeczeństwu. Jest on tak przeciążony pracą i tak pokorny i cichy, że ludzie przestali dziwić się jego milczeniu. Szanowny profesor pracuje w seminaryum nauczycieli ludowych, jest posłem do sejmu i Rady państwa oraz prezesem kilku towarzystw — wobec tego pozwala w Radzie szkolnej gospodarować innym.

Obecnie jeden z najczynniejszych i najrozumniejszych członków, ks. Jerzy Czartoryski, usunął się, a na jego miejsce wybrano — *risum teneatis* — W. Dzieduszyckiego, który jest prezesem Towarzystwa teatru ludowego—nie dającego przedstawień;—profesorem jakiejś tam filozofii—bez słuchaczów; prezesem powieści, drukowanych własnym nakładem i nie czytanych przez nikogo; przytem „Koła literackiego“—bez literatów; no a teraz przybyła nowa godność — został członkiem Rady szkolnej—bez głosu. Ten szczęśliwy wybraniec galicyjski, mąż stanu—do wszystkiego zmieniał już rozmaite barwy polityczne—zacząwszy od czerwonego jakobinizmu. Był szarym, burym, rudym, dzikim, w chwilach ubezwładnienia umysłowego stawał się strasznie czarnym pesymistą, a kiedy „humory“ hrabiowskie odpływały, ubierał się w białe szaty i białe, anielskie myśli głosił na wszystkich prelekcyach tak pięknie, że aż się brody stańczykom trzęsły z radości. Wszystko to dobre, ale jaki pożytek z podobnych ludzi dla instytucyi tak poważnej, jak Rada szkolna? Złośliwi utrzymują, że w wyborze tym ukryta głęboko tajemna myśl, którąby się w ten sposób wyrazić dało: my nie potrzebujemy zdolnych i rozumnych doradców; p. prezydent potrzebuje zer jak najwięcej—on potrafi niemi kierować ku pożytkowi—powszechnemu, naturalnie. A no, niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgodzić trzeba...

W „Kole literacko-artystycznem“ odbywały się niedawno wybory dygnitarzy, prezesa jednak nie wybrano. Ci, którzy rej wiodą, powiadają stanowczo, że Wojciecha Dziedyszyckiego nie życzą sobie na prezesa—za wiele ma dostojeństw, a dawny prezes miękki i zacny p. Kubala, waha się jeszcze—zostać, czy nie?

Mniejsza zresztą o to, czem jest i czem się stanie z czasem „Koło literackie, czy klubem, czy tajemnym domem gry, ale ono nie spełnia przyjętych zobowiązań, za które pieniądze pobrało dawno. Mam tu na myśli nie wydany dotychczas tom sprawozdań i dyskusyi z II-go Zjazdu. Pocóż był zjazd? A słychać, że ów oczekiwany tak długo tom sprawozdań nie ukaże się wcale w druku, bo wielu bardzo, z obawy ażeby słów ich rozmyślnie nie przekręcono, lub nie wydano w błędnej korekcie, wstrzymuje się z nadesłaniem sprawozdań...

Cho.

LIBERUM VETO.

Wychowanie młodych pokoleń.—Atmosfera ideałów.—Kto jest u nas badaczem naukowym, kto działaczem społecznym, kto filantropem, kto artystą?—Taniec pojęć.—Wielkości nierówne, a zrównane. — Maskarada, a nie maskarada. — Wychowańcy tej szkoły.

Młode pokolenia przynoszą z sobą na świat rozmaite organizacye i wyrastają w warunkach bardzo złożonych: jakim każdy człowiek ma być, zależy to od jego antropologicznego dziedzictwa, od wpływów otoczenia domowego i społecznego, od żywności, nauki itd. Śród tych wszakże czynników niewątpliwie bardzo ważną rolę gra — że tak powiem — atmosfera ideałów. Dziecko lub młodzieniec słyszy od rodziców lub znajomych, a potem czyta w książkach i pismach peryodycznych pochwały lub nagany dla pewnych czynów, objawy czci lub potępienia dla pewnych ludzi i — o ile mu nie przeszkadzają inne wpływy — wyrabia sobie ideał człowieka, do którego dążyć powinien i do którego rzeczywiście dąży. Któż z nas nie zapragnął być podobizną bohatera jakiejś powieści lub jakiegoś wypadku, opisanego w gazetach! A może bohaterowie gazet jeszcze bardziej pociągają, niż powieściowi, bo wierzymy w ich rzeczywistość. Pokolenia, które obecnie dojrzewają i starzeją się, kształciły się więcej według książek, niż teraźniejsze, wychowywane przez prasę. Jeszcze przed ćwierć wiekiem pismo peryodyczne nie wpiło się tak w potrzeby naszego życia, jak dzisiaj; wówczas można było na setki i tysiące liczyć ludzi inteligentnych, którzy nie czytywali stale żadnego, dziś są to wyjątki, wskazywane palcami. Wobec tej zmiany należy rozważyć, jakie też wzory do naśladowania stawia prasa nasza nowym pokoleniom?

Wyznaję z góry, że nie wiem, i gdybym był młodym człowiekiem, szukającym w tej mierze wskazówek, zgubiłbym się w domysłach, jak powinienem postępować, ażeby być wielkim, znakomitym, szanowanym, pożytecznym społeczeństwu, zasłużonym itd. Bo przypuszczam, że chcę zostać badaczem naukowym. Z rozmaitych przykładów i sądów szybko przekonam się, że opinia publiczna nie zachowuje prawie żadnej różnicy między rzeczywistym uczonym a blagierem i dyletantem. Zarówno ten, kto całe życie poświęcił rozległym studyom, jak ten, kto przyswoił sobie treść kilku podręczników, jest: naszym znakomitym filozofem lub przyrodnikiem, czcigodnym kapłanem wiedzy, szanownym profesorem (godność przyznawana najczęściej), powagą w swoim przedmiocie, specyalistą itp. Co więc właściwie należy czynić, ażeby pozyskać jeden z owych tytułów? Zgłębiać naukę, czy też ją po wierzchu liznąć? Licho zgadnie.

Zamarzyłem o działalności społecznej — mam na to czas i środki, oglądam się tylko za wzorami. I widzę pomiędzy tymi, którzy na skroniach noszą wieńce wawrzynowe: posiadaczów synekur, płytkich deklamatorów, popisujących się z wytartymi frazesami na rozmaitych zebraniach, bezmyślne frygi, kręcące się z brzękiem na jednem miejscu, niewyczerpanych projektowiczów, rodzących codzień nowy pomysł a niewykonywających żadnego, nadętych pyszałków, którzy zostali „stworzeni na prezesów," a śród tego tłumu czasem błąka się jakiś dziwak z energią i dobrą wolą, na którego nikt nie zwraca uwagi. Z kogo tu zdjąć miarę dla siebie? Licho zgadnie.

Tyle wokoło nędzy i cierpienia — serce mnie rwie do filantropii, trzeba się przyjrzeć jej ideałom. Dostrzegam bardzo bogatą damę, która przyjechawszy na wieś do swego majątku, chodzi po oborach i chlewach dla zbadania, czy w żłobie lub korycie krów i świń jej parobków nie mająkichś śladów plewy i ziarna dworskiego. Co niedzielę zwołuje ona uroczyście żebraków z pod kościoła, ażeby im rozdać 3 rs. jałmużny. Milionowy pan, który każe wypłacać stale po 2 kop. dziennie ubogim i który oburza się na propozycyę, ażeby w pożytecznem przedsięwzięciu zaryzykował 100 rs., głosi taką etykę: „Wszyscy ludzie kradną, ta tylko między nimi zachodzi różnica, że jedni są złodziejami jawnymi, a drudzy skrytymi; otóż ja wolę przyjmować na oficyalistów złodziejów wiadomych, gdyż ci nie dają mi żadnych złudzeń i nie usypiają mojej czujności." O tej damie czytam w gazetach: „Opiekunka ludu, czuła matka wszystkich maluczkich, zapomniała zupełnie o sobie i żyła wyłącznie szczęściem tych, którzy potrzebowali jej pomocy." A o tym panu: „Potężną siłą swych środków materyalnych i swej inteligencyi oddziaływał głęboko na nasze sprawy ekonomiczne i był prawdziwym, choć niesentymentalnym dobroczyńcą swego społeczeństwa. Ludzi znał i umiał ich cenić, chociaż wrodzony optymizm narażał go często na pomyłki i zmarnowane ofiary." Obok bohaterów cnoty widzę czcigodnego obywatela, który za sowitą pensyę zarządza majątkiem dobroczynnym, widzę szlachetnego kwestarza, który ciągle sięga miłosierną swą ręką do cudzych kieszeni, ale sam ze swojej nie wyjmuje ani rubla; widzę specyalistę, który wyzyskuje na cele filantropijne: muzyków, śpiewaków, aktorów, literatów, ale sam poświęca biednym tylko swój drogocenny czas, którego nie może „zabić." Przyglądając się tym mistrzom, pytam, co mam począć, ażeby być filantropem? Licho zgadnie...

Może pewniejsza droga artyzmu. Wszakże wszyscy się godzą na to, że Mickiewicz był wielkim poetą, Chopin — wielkim muzykiem, Matejko — wielkim malarzem, więc zapewne opinia posiada jakąś ścisłą miarę. Gdzie tam! Grasuje w naszej literaturze, a raczej prasie, pewien powieściopisarz, na którego kosze redakcyjne spoglądają zdziwione, że ich nimi nie nakarmiono. O tym gryzmole powiada sprawozdawca: „Praca p. X. sięga do tych głębin i tych wyżyn ducha ludzkiego, które są dostępne tylko mocnym głowom, niedoznającym zawrotu ani w przepaściach, ani na szczytach." Ponieważ zaś równocześnie wyszedł zbiorek poezyj pewnej genialnej autorki, więc krytyk zauważył: „Wiersze pani X. są niewątpliwie ładne, dźwięczne, chociaż nieco jednostajne. Nadto pozwolimy sobie zaznaczyć, że nie mówi się: *woła*, ale *wołu*, gdyż *woła* jest 3 osobą, liczby pojed. czasu teraźniejszeg od słowa *wołać*."

W Berlinie wystąpił z koncertem jeden z naszych fortepianistów; korespondent donosi o nim: „Do czego w natchnieniu wznieśli się najwięksi kompozytorowie, co w technice osiągnęli najznakomitsi wykonawcy, to zjednoczyło się w grze i utworach waszego ziomka. Słuchacze po każdym numerze wpadali w szał, krzyczeli, miotali się, wyli, ryczeli, kobiety ulegały napadom histeryi, mężczyźni — atakom furyi; zdawało się, że zapał buchnie wulkanem, zburzy dach i zginie w niebiosach." Mój panie — zaczepiam znajomego — czy prawda, że on tak czarująco grał? — Słyszałem lepszych — odpowiada mi obojętnie. — A cóż piszą? — Kuryerowe fajerwerki.

Zaszedłem na wystawę obrazów: nowe płótno, przedstawiające: fioletowe liście, czerwoną trawę, niebieskie konie i zielonego zająca. W parę dni potem recenzent wykłada mi: „Twórca *Polowania* jest śmiały w rzucaniu mocnych barw, ale przyznać mu trzeba, że czyni to mistrzowsko." O kilkadziesiąt wierszy niżej w odcinku powieściowym: „Brutalnie piękna, ze spódnicą podkasaną za kolana i odkrywającą brudne łydki, była żywym posągiem brutalnego wdzięku, nie mającym nic wspólnego z martwemi pozami lalek Rafaela." Zastanawiam się, co to jest geniusz artystyczny? Licho odgadnie!

Przez takie wrażenia, wątpliwości i dziwy przechodziłbym prawdopodobnie, gdybym dziś chciał urabiać mój młody umysł według norm głoszonej i drukowanej opinii publicznej. Przypuszczam, że przez te same doświadczenia przechodzą tysiące ludzi dojrzewających. Widzą oni wokoło siebie jakiś bezładny chaos, szalony wir pojęć, w którym cal równa się średnicy ziemi, iskra — słońcu, kropla — oceanowi, góry — kretowinie, trawa — topoli. Wszystkie te wielkości zmieszano, zrównano lub odwrócone w swoich stosunkach; nieuctwo nazywa się uczonością, sknerstwo—hojnością, wyzysk — miłosierdziem, nieudolność — geniuszem, fuszerka arcydziełem; mędrcy wrzucani do grobów jak bezużyteczne graty, szachraje chowani ze czcią— jako ofiary obowiązku, skąpcy—jako dobroczyńcy. Zdaje ci się, że jesteś na wielkiej maskaradzie, w której wszyscy są przebrani w stroje, nieodpowiadające ich rzeczywistemu stanowisku, tytułują się fałszywemi imionami, kłamią ubraniem, głosem, językiem, ruchem. A jednak to wcale nie maskarada, która jest szkołą społeczeństwa, lecz życie. Jacyż to ludzie mogą wyjść z takiej szkoły?

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Magistrat miasta zawarł już kontrakt z p. Glinką Mawrinem o budowę tramwajów. Bilet za przejazd jednej osoby kl. I ma kosztować 8 kop., II-ej—5 kop., uczniowie płacą o 30% taniej. Po latach 20-tu magistrat ma prawo wykupić kolej konną. Po latach 35 całe przedsiębiorstwo przechodzi na rzecz miasta bezpłatnie. Dla zapewnienia dotrzymania umowy, p. Gl. Maw. ma składać jako kaucyę nienaruszalną, po 500 rs. rocznie, aż do chwili uzbierania w ten sposób sumy 40,000 rs. Za prawo eksploatacyi przedsiębiorca płacić będzie w pierwszem pięcioleciu po 3% od dochodu *brutto*, w następnem po 4%, później po 5%. Nadto składa z góry kaucyę w sumie 30,000 rs., która stanie się własnością miasta, jeżeli kolej tramwajowa nie będzie zbudowana w ciągu roku, od chwili podpisania kontraktu.

Lublin. Inżenier chemik Oskar Gerlicz w majątku swoim, Abramowic, w pow. zamojskim założył farbiarnię, drukarnię, tkalnię wyrobów włościańskich. Podobno zadaniem fabryki jest zachęcenie ludu lubelskiego do miejscowych wyrobów. Zakład ten niewątpliwie ożywi okolicę i da zarobki ludności. — Przed tygodniem spłonęła zupełnie stacya Trawniki kolei Nadwiślańskiej Zawiadowca, p. Józef Cegielski, stracił tam cały swój majątek; spaliło się bowiem i jego mieszkanie wraz z sumą, otrzymaną świeżo z podziału spadkowego. Ratując dzieci i mienie tak się poparzył, że musiano go odwieść do szpitala. Z powodu słynnej oszczędności kolei, na stacyi nie było żadnych środków ratunkowych. Krąży przypuszczenie, że również skutkiem tej oszczędności, tj. używania lichego węgla, pożar wznieciły iskry z parowozu. Wszystkie stacye owej drogi, to są pudła drewniane, które pierwej czy później ulegną takiemu samemu losowi. Może nareszcie gospodarze tej linii przekonają się, że owa oszczędność jest największą rozrzutnością, przypominającą stare przysłowie o skąpcu.

Wilno. Wobec ciągłego narzekania ziemian na brak nowych źródeł dochodu, dziwnie jaskrawo wygląda fakt następujący: Spekulanci, głównie żydzi, stworzyli i prowadzą z wielkiem powodzeniem handel rakami. Niektórzy przez zimę trzymają po sześciu lub dziesięciu robotników do połowu przez przeręble za pomocą przynęty mięsnej. Ta pora jest także najpomyślniejszą dla żywych raków, wysyłanych za granicę. Za 1,000 sztuk w Berlinie płacą zimą po 50 rs., latem po 20. Koszt przesyłki wynosi 4 rs., opakowanie i połów kilka rs. Tym sposobem czysty zysk jest znaczny. O ileż by się on podniósł, gdyby prowadzono hodowlę raków i handel według zasad racyonalnych. Ale ziemianie zapewne wtedy się obejrzą, gdy raki, hodowane przez naturę, co do nogi wyemigrują za granicę. Nie mówimy tu już o wielkich właścicielach, którzy w znacznej liczbie mają jeszcze mocne podstawy. Natomiast drobna szlachta jest w bardzo ciężkich warunkach; niezaradna, bezczynna, patrzy ona na ruchliwość i energię spekulantów, do których może pójdzie z czasem na służbę za lichą płacę.—Zarząd miejski postanowił otworzyć w Wilnie szkołę średnią chemiczno-techniczną. Miasto—jak zapewnia *Minskij Listok*—ofiarowało na budowę gmachu rs. 100,000 i ½ dzies. gruntu. W zapisie wstępnym pierwszeństwo mieć będą dzieci mieszkańców Wilna, bez różnicy wyznania.

Petersburg. Dzięki chciwości jednego ze spadkobierców, sprawa spuścizny po W. Czarneckiej, ciągnąć się będzie długie lata. Rościciele pokłócili się i wzajemnie zaprzeczają sobie prawa do spadku, a jeden, jakeśmy już donosili, odkrył przed ministeryum dóbr państwa tajemnicę, nie wiadomo czy prawdziwą, że nieboszczka pochodziła z nieprawego łoża. Adwokat przysięgły izby sądowej petersburskiej, p. Szmitow, przedstawił prezesowi dokumenty, stwierdzające wręcz przeciwnie—że dowody prawego pochodzenia Czarneckiej są w porządku i na tej podstawie prosił o odroczenie sprawy. Obrońca interesów skarbu protestował; w końcu sąd po długiej naradzie, przystał na żądanie Szmitowa i licznych rościcieli. W dalszym ciągu przybywa ich coraz więcej z różnych krańców państwa: Podola, Besarabii, Kaukazu, Królestwa Polskiego. Spadek znacznie jest większy niż pierwotnie mniemano; samych papierów procentowych około 10 milionów rubli (podług kursu, nadto trzy rozległe majątki ziemskie w gub. podolskiej: Pokutany, Kołytany i Nasiekówka.

Charków. Śmierć lekarza Frankowskiego obudziła w mieście żal szczery i powszechny. Społeczeństwo bowiem straciło nietylko pożytecznego pracownika na niwie medycyny i profe-

sora uniwersytetu, lecz człowieka zacnego, który niósł bliźnim pomoc moralną, fizyczną i pieniężną. Licznych ubogich leczył darmo i wspierał ich, gdy nie mieli na lekarstwo lub pożywienie. To też miał pogrzeb tak piękny i wspaniały, jakiego nikt w tem mieście nie pamięta. Kondukt rozciągnął się przeszło na wiorstę; trumnę nieśli lekarze, studenci wyższych zakładów naukowych i obywatele miejscy. Wygłoszono kilka mów po rosyjsku i polsku, którym płacz tłumów wtórował i wołanie: „Żegnaj, przyjacielu ludzkości, żegnaj dobroczyńco!" Miasto nietylko pokryło koszt pogrzebu, ale postanowiło wznieść pomnik, nadto wyznaczyło wdowie pensyę dożywotnią w sumie rs 900 rocznie. Wreszcie rada miejska wraz z Towarzystwem lekarskiem, zamierza stworzyć stypendyum imienia Frankowskiego. To najpiękniejszy pomnik! Prasa rosyjska poświęciła nieboszczykowi obszerne i ciepłe wspomnienia.

Odesa. W ostatnich czasach na rynku odeskim podniosły się ceny pszenicy i jęczmienia o 3—5 kop. Żyto również cieszy się powodzeniem. Przyczynił się do tego niewielki zapas zboża na rynkach europejskich, a może więcej jeszcze—wieści o niepomyślnym stanie posiewów w Europie zachodniej i Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. Obecnie zapasy zboża w Odesie są niewielkie, więc wywozowcy wysyłają swoich agentów na wszystkie strony, z zastrzeżeniem, iżby prawdę taili głęboko, a starali się rozszerzać wiadomości mylne, wpływające na zniżkę. Uda się to im świetnie, ponieważ znaczna większość rolników gazet wcale nie czyta i nie wie, co się dzieje po za ich miedzą. Są atoli wyjątki. Tak np. według zapewnień korespondenta *Gaz. polsk.*, naddnieprzańscy właściciele ziemscy nie chcą wcale sprzedawać zboża agentom, lecz wysyłają je na własne ryzyko do Odesy.—Niezbyt dawno skończył się głośny proces z powodu przeszłorocznej katastrofy z parowcem „Włodzimierzem" na Czarnem morzu, gdy oto znowu jest prowadzone śledztwo z przyczyny zatonięcia statku „Kotzebue." Nie pierwszy to już wypadek w okolicy latarni tarchankuckiej. Miejscowość ta, najeżona skałami, jest uważana za wielce niebezpieczną. A jednak jest to droga dla wszystkich statków, płynących do Krymu i Kaukazu z Odesy Mikołajowa i Chersonu. Jak więc usunąć to niebezpieczeństwo? Jeden z dzienników miejscowych daje, wobec słynnego niedbalstwa i nietrzeźwości kapitanów, bardzo praktyczną radę:—wprowadzenie takiego rozkładu jazdy, któryby pozwalał omijać to miejsce w dzień. Dziś wszystkie statki przechodzą tam w nocy.

SPRAWY EKONOMICZNE

OBROTY W ZŁOCIE

Wymiana staje się coraz bardziej międzynarodową i wszystkie różnice w zakresie środków obrotu są tylu przeszkodami. Ujednostajnienie ogarnia miary i wagi: zamiast tradycyjnych a różnobarwnych jednostek, upowszechniają się metryczne. Tę samą dążność spostrzegamy też w dziedzinie monety; prędzej czy później, ale zawsze kiedyś musi nastać pewna jednostajność waluty w obrębie terytoryum międzynarodowego. To znaczy, system monetarny będzie się opierał na tym samym kruszcu i wartość pojedynczych monet z różnych krajów będzie stała wzajemnie do siebie w prostym stosunku. Dzisiaj, w jednych krajach istnieje złoto, jako podstawa systemu, w innych, mianowicie w egzotycznych, srebro; gdzieindziej wreszcie papier—faktycznie. A ponieważ każdą z tych form monety rządzą zgoła odrębne dążności i zmieniają się względem siebie nierównomiernie, nastaje przeto mnóstwo zakłóceń. Ten i ów korzysta, ktoś ponosi straty, ale w ostatecznym rezultacie te zaburzenia pociągają za sobą obawę zawodu i zmniejszają napięcie wymiany. Zdarzało się, że zanim nadszedł z Japonii transport jedwabiu, to zmiany w *agio* pochłaniały zysk przedsiębiercy.

Naturalnie, jednostajność waluty może się utrwalić tylko na tej zasadzie, na jakiej oparto ją w krajach wyżej stojących pod względem ekonomicznym. Mniej rozwinięte, tokiem logiki ekonomicznej, winny się do niej przystosować. Nadto jeszcze inna pobudka pcha je po tej drodze—ta sama, która zniewoliła tamte państwa do zaprowadzenia u siebie złota, mianowicie interesy skarbu i rozwijającego się ruchu handlowo-przemysłowego, wymagającego większej rękojmi, że kapitał nie spadnie w swojej wartości skutkiem zniżki kruszcu monetarnego. Rzecz tę możemy przedstawić krótko i węzłowato: moneta, to swego rodzaju łokieć, który, dzięki warunkom produkcyjnym, ulega z roku na rok zmianom. Gdyby był zrobiony jedynie ze srebra (bimetalizm jest tylko odmianą tej formy zasadniczej), to, skutkiem wzrostu wydobywania tego metalu i spadku cen jego, ów łokieć kurczyłby się bardzo silnie: od r. 1860 do 1894 zmniejszyłby się z 60 na 33, t. j. blizko o połowę. Zmiany w łokciu złotym nie są tak łatwe do wykazania, ponieważ ten kruszec przyjmujemy za miernik bezwzględny, ale opierając się na danych jego eksploatacyi, możemy twierdzić, że prawdopodobnie ulegał w tym czasie bardzo nieznacznym zmianom. Waluta znowu papierowa—faktycznie o niej mówić możemy—waha się bezustannie, w ciągu dziesiątka lat nawet o 1/3 swojej wartości. Właśnie to różne zachowanie się spowodowywa, że różne z tych „łokci" monetarnych nie jednakowo odpowiadają pojedynczym warstwom społeczeństwa, przedewszystkiem zaś okazują pewne skutki, jakie musi wywołać każda chwiejna skala miernicza.

Zresztą, usuwając na bok chwiejność ową, rozpatrywaną jedynie ze stanowiska skutków na niepewność obrotów, zatrzymamy się tylko nad szkodą, jaką ponosi skarb państwowy, kiedy istnieje waluta w kraju, wykazująca dążności do spadku ceny swojego materyału. Weźmy mianowicie srebro, które, jak już wiemy, spada w cenie na rynku towarowym i pociąga za sobą podniesienie się wartości wszystkich innych przedmiotów. Państwo, pod postacią podatków i dochodów, otrzymuje tę samą liczbę łokci monetarnych. Cyfra ta, która pozostała niezmienną w swojej wartości nominalnej, przedstawia więc mniejszą realną, mierzoną przez ilość potrzeb zaspokajanych: państwo może nabyć za nią mniej broni, oraz uczynić zadość mniejszej liczbie swoich wymagań. Równie warstwa urzędnicza dopomina się podniesienia pensyi, która przedstawia obecnie mniejszą siłę nabywczą. Rzecz się kończy na podniesieniu stopy podatkowej. Ale zanim równowaga będzie przywrócona, upłynie sporo czasu i zresztą niebawem życie znowu ją starga—na niekorzyść skarbu. Interes więc państwa wymaga istnienia waluty z kruszcu, któryby podlegał najmniejszym wahaniom w kierunku zniżki (o zwyżkowym nie mówimy, bo takiego nie ma). Warunkom tym odpowiada złoto. Rząd niemiecki i austryacki więc zaprowadzają walutę złotą, inne—ograniczają dowolne bicie monety srebrnej. Skarb w tej reformie opiera się nadto na interesie warstw przemysłowo - handlowych, które życzą zabezpieczyć swoje kapitały przeciwko dewaluacyi, jaka nastąpiłaby przy srebrze, oraz jest popierany przez żywioły, żyjące z zarobku gotowego (profesye wyzwolone, biurokracya, najemnicy wszelkiego rodzaju). Złoto przedstawia interesy miasta, podobnie jak srebro—warstw posiadaczy wiejskich.

Rozpatrzyliśmy drobiazgowiej rzecz poniekąd teoretyczną. Uważaliśmy to jednak za niezbędne, ażeby wykazać, że zaprowadzenie waluty złotej w Rosyi, jest i być musi tylko kwestyą czasu. Właśnie stoimy dzisiaj wobec próby w tym zakresie ze strony ministeryum skarbu. P. Witte świeżo wniósł do Rady państwa projekt, pozwalający na zawieranie tranzakcyi w złocie. Plany jego przyjęto jak najlepiej i zatwierdzono. A zatem obroty w złocie możemy uważać za istniejące.

Jest to sprawa, oddawna zajmująca skarb państwa. Zawsze w Rosyi uważano kurs przymusowy rubla za stan przejściowy, który prędzej lub później powinien ustąpić miejsca walucie kruszcowej. Ile razy położenie finansów zaczynało sprzyjać wprowadzeniu umów na złoto, tylekroć rosyjscy ministrowie skarbu wnosili do Rady państwa odpowiednie projekty. Uczynił to w r. 1877 Reutern, ale wojna turecko-rosyjska przeszkodziła urzeczywistnieniu jego myśli. Ideę tranzakcyi na złoto wznawia w r. 1883 Bunge, który domaga się: 1) przyjmowania względnie wydawania przez skarb monety kruszcowej według kursu wekslowego, oraz ustalenia przez ministeryum skarbu, w razie potrzeby, różnicy na korzyść kasy państwowej, ale nie wyżej po nad 2% i 2) wydania prawa o zawieraniu umów pomiędzy osobami prywatnemi, względnie pomiędzy niemi a skarbem na złoto i srebro, przyczem do korzystania z tego nie dopuszczono mieszczan i włościan. Rada państwa przyjęła w zasadzie projekt Bungego, ale postawiła za warunek, ażeby uprzednio umorzono nowe emisye biletów kredytowych. Tem samem sprawę odwleczono. Podjął ją znowu Wiszniegradzkij w r. 1888, ale bezskutecznie, bo tranzakcye na kruszec uznano za rzecz przedwczesną. Wreszcie obecny minister skarbu, p. Witte, wydobył z zapomnienia plany Bungego, a zmieniwszy je nieco, uzyskał zatwierdzenie Rady państwa. Wniosek jego przedstawia się jak następuje:

a) Wolno uskuteczniać wszystkie wypłaty w walucie złotej, według kursu bieżącego, naturalnie jeśli na to zgodzi się wierzyciel, który może żądać uiszczenia długu w srebrze, względnie w papierach kredytowych.

b) Można zawierać wszelkie tranzakcye w walucie złotej, a zatem brać ją za podstawę dla weksli, umów, aktów wieczystych, zastawów i pożyczek, co dotąd było zabronionem. Dłużnikowi wszakże będzie przysługiwało prawo dokonania spłaty w papierach kredytowych, ale wtedy suma złota będzie w nich wyrażona według kursu bieżącego.

c) Zezwolenie na zawieranie tranzakcyi w złocie nie dotyczy włościan, którzy będą musieli też nadal wykonywać wszystkie zobowiązania pieniężne w rublach srebrnych i spłacać je monetą papierową. Wyjątek stanowią włościanie i mieszczanie, którzy wykupili świadectwa kupieckie pierwszej i drugiej gildyi.

d) Kurs biletów kredytowych będzie się normował według ceduły najbliższej giełdy. W razie zaś nieporozumień, wypłaty należy dokonywać na zasadzie kursu giełdy petersburskiej.

e) Prawo spłacania podjętych zobowiązań monetą papierową nie przysługuje Bankowi państwa, kiedy idzie o depozyty złożone w złocie. Winny być spłacane w walucie tego kruszcu.

f) W niedalekiej przyszłości będzie wydane rozporządzenie, zezwalające na opłatę w złocie akcyzy od cukru i nafty, następnie zaś wszelkich innych podatków i powinności. Ministeryum skarbu, na miesiąc względnie kwartał z góry, będzie wyznaczało kurs, według którego skarb ma przyjmować tego rodzaju wypłaty.

Dawniejsi ministrowie skarbu, dążąc do wprowadzenia w Rosyi obrotów w złocie

uważali tę reformę jedynie za środek przejściowy, któryby przygotował grunt dla zmiany jeszcze radykalniejszej: urzeczywistnienia waluty złotej. Prawdopodobnie temi samemi pobudkami kierował się także obecny minister skarbu przy opracowywaniu swojego projektu, przynajmniej z takiego punktu rozważa zapowiedzianą reformę prasa petersburska, która jednogłośnie twierdzi, iż dozwolenie zawierania umów w złocie jest okresem przejściowym, mającym zwolna przygotować ludność do następnej reformy. Przygotowanie to istotnie jest niezbędne. Wobec małego rozpowszechnienia znajomości nauki o finansach, wielu mogłoby dokonaną odrazu zmianę waluty papierowej na złotą wytłomaczyć sobie jako prostą dewaluacyę, acz o tem w całym projekcie nie ma najmniejszej wzmianki. Tymczasem wprowadzenie obrotów w złocie, jako ogniwa przejściowego, rozproszy zwolna te niczem nieuzasadnione zapatrywania. Ludność, dokonywając tego rodzaju umowy, będzie miała czas oraz sposobność zrozumieć, że rubel papierowy, względnie srebrny, a złoty, są to rzeczy bardzo rożne. Danie takiej nauki praktycznej jest wprost koniecznością, o czem świadczą opaczne poglądy, wypowiedziane przez parę pism petersburskich, które spierają się o to, czy przyznanie rubla kredytowego za posiadającego niższą wartość, niż złoty, nie zakrawa na dewaluacyę! Samą praktykę, jakeśmy to widzieli, ograniczono róźnemi zastrzeżeniami, obliczonemi właśnie na to, ażeby dowieść ludności, że w danej chwili, jeśli nastąpi zamiana jednej waluty na drugą wedlug kursu bieżącego, żadna strona nic nie potrzebuje tracić. Mianowicie pozostawiono możliwie wielką swobodę pod względem splaty zobowiązań w złocie. Tak np. co do umów, zawartych nie w złocie, dłużnikowi przysługuje prawo spłaty ich w tym kruszcu, ale jeżeli się zgodzi na to wierzyciel. Kiedy zaś tranzakcyę zawarto na zasadzie metalicznej, wtedy dłużnik posiada prawo uiszczenia się w papierach kredytowych, ale po kursie, odpowiadającym cedułom dnia wypłaty. Strony więc handlowe, mając taką swobodę i tem samem zmuszone do zamiany jednej waluty na drugą, bez żadnego przymusu ze strony organów państwowych, zdołają się przekonać, że owym wzajemnym stosunkiem rządzą prawa natury ekonomicznej, że rubel złoty a papierowy nie są wielkościami jednakiemi i że unormowanie ich ostatecznego stosunku przez wprowadzenie złota stanowi jedynie „przetłomaczenie“ jednej waluty na drugą. Naturalnie, może to pociągnąć za sobą korzyści dla jednych, straty dla drugich, którzy są związani umowami, nie w złocie zawartemi: jeżeli zamiana nastąpi przy niższym kursie rubla papierowego, niż w chwili zawarcia tranzakcyi, wtedy skorzysta wierzyciel, straci dłużnik. I odwrotnie—jeśli kurs wyższy. Ale w danej chwili będzie to tylko uświęcenie stosunku, stworzonego przez wzajemne względy ekonomiczne. Zresztą umowy ograniczono do warstw majętniejszych i wykluczono z pod prawa korzystania z nich włościan i mieszczan. Rzecz to naturalna, bo tego rodzaju obroty mogłyby stać się środkiem wyzysku mniej wykształconych kół ludności.

Kiedy życie zaznajomi ludność z faktycznym stosunkiem tego i drugiego rodzaju pieniędzy, skarb będzie mógł wziąć się do dokonania dalszego planu, mianowicie zaprowadzenia waluty złotej. Ale dzisiaj mówić o tem byłoby jeszcze przedwcześnie. Natomiast winniśmy podnieść znaczenie dokonanej reformy dla uregulowania kursu rubla. Dotychczas ustanowienie stosunku papierów kredytowych do złota zależy w znacznej mierze od spekulantów zagranicznych, ponieważ tylko za granicą dokonywano są dostateczne liczne tranzakcye tego rodzaju. Tymczasem rozpowszechnienie się takich obrotów wewnątrz kraju stwarza samodzielną, wewnętrzną podstawę dla normowania rozpatrywanego stosunku i tem samem do reszty wyzwala rubla kredytowego z pod władzy gield zagranicznych.

J. W.

UŚWIADOMIENIE SIŁY EKONOMICZNEJ.

II.

Zakres szerszy posiadają towarzystwa gubernialne, dotąd stosunkowo nieliczne. Ale te, jak i powiatowe, gdyby działały tylko w granicach administracyjnych, nie wpłynęłyby korzystnie na interesy rolników. Dotąd wszakże w wielu wypadkach główną uwagę zwracano tylko na ten podział terytoryalny. Powiat, jako zazwyczaj obejmujący niewielką przestrzeń, może jeszcze posiadać taką instytucyę na użytek *wyłączny*, ale i to nie wszędzie. Jedna gubernia ma np. obszary zasadniczo różniące się pod względem charakteru gleby, wogóle warunków topograficznych, geograficznych, komunikacyjnych, kulturalnych itd. Gdy przeciwnie—przyległe przestrzenie innych gubernii bywają bardzo zbliżone pod względem cech, stanowiących grupę jednolitych interesów i potrzeb rolnictwa. W tworzeniu zatem stowarzyszeń rolniczych niepodobna trzymać się granic administracyjnych, jeżeli chodzi o to, ażeby takie instytucye przynosiły pożytek istotny.

Ale tu znowu nasuwają się trudności pod względem technicznym i praktycznym. Każde stowarzyszenie takie powstaje z upoważnienia władzy miejscowej, która tem samem poniekąd ułatwia istnienie owego organu ziemiaństwa. Na tę okoliczność właśnie zwrócono uwagę, ale pominięto inny środek, który, zdaniem naszem, pogodziłby terytorya rolnicze i administracyjne. Mianowicie—towarzystwo powinno być „własnością“ tego powiatu lub gubernii, w których przeważa przestrzeń, dająca jednolite warunki rolnictwa. Wyjątek stanowić mogą chyba tylko gubernie, posiadające ziemstwa.

Zdaniem rady rolniczej, normalna ustawa towarzystw powinna zaspokajać dwie główne potrzeby: dać stowarzyszeniom samodzielność w formułowaniu tych stron organizacyi wewnętrznej, które mogą podlegać zmianom. Z drugiej strony przepisy powinny być o tyle wyczerpujące, iżby z chwilą ich przyjęcia towarzystwo mogło natychmiast rozpocząć swoją działalność i nie uciekać się do częstego przeglądania i uzupełniania ustawy. Przytem byłoby pożądanem skrupulatne odróżnianie *zmian* od *dopełnień*, tj. wprowadzenie do tekstu takich artykułów, które rozwijając przepisy i nie przecząc im, utrwalałyby ogólne zasady i tem samem nadawałyby pewną samodzielność instytucyi. *Zmiany* muszą być uświęcane przez władze centralne, dla zachowania pewnej jednolitości w ogólnych rysach. Ale zatwierdzenie *dopełnień* należałoby poruczyć władzom miejscowym.

Mamy w ręku całkowitą normalną ustawę towarzystw rolniczych, roztrząsaną przez radę ministeryalną. Ze względu na jej doniosłość, uważamy za właściwe zapoznać czytelników z najważniejszymi szczegółami. Dla rozwoju i udoskonalenia gospodarki i przemysłu rolnego, towarzystwa powinny działać według następującego programu: 1) Badać położenie i warunki różnych gałęzi gospodarki, wyświetlać potrzeby za pomocą roztrząsania kwestyj drogą peryodycznie zwoływanych zebrań członków, rozpraw, zjazdów, tworzenia wycieczek dla obejrzenia gospodarstw sąsiednich tudzież wszelkich innych badań i doświadczeń. 2) Dalej — powinny szerzyć wiadomości teoretyczne i praktyczne, za pośrednictwem odczytów publicznych, ogłaszania rozpraw drukiem i rozpowszechniania wogóle książek i pism specyalnych, a nawet, jeżeli to możliwe—pożądane jest wydawanie własnego organu, urządzanie szkół rolniczych, bibliotek i muzeów. 3) Należy dążyć do zaszczepienia najlepszych sposobów prowadzenia gospodarki, za pomocą wypróbowania systemów i kultur, przyjętych w innych miejscowościach państwa tudzież za granicą. Pożądane są również konkursy maszyn, narzędzi, uprzęży, stacye i pola doświadczalne, fermy, ogrody, szkółki itd. 4) Towarzystwo powinno dopomagać ziemianom w racyonalnem urzeczywistnianiu ich przedsięwzięć, pośredniczyć w zaopatrywaniu ich w niezbędne przedmioty i zbycie produktów, do czego służyć mogą biura wywiadowczo-komisowe, składy itd.

Towarzystwo ma urządzać wystawy, popierać prace i zasługi w dziedzinie gospodarczej za pomocą różnych nagród. Ustawa w dopisku tego paragrafu mieści bardzo ważny szczegół, że urządzane przez towarzystwa składy dla sprzedaży narzędzi i maszyn, nasion nawozów sztucznych i innych rzeczy, niezbędnych w gospodarce, nie podlegają podatkowi za prawo handlu (na zasadzie § 223 ust. o podat. bezpośr. Zbiór prawa t. V. wyd. 1893 r.).

Przy rozszerzeniu zakresu działalności, towarzystwo może tworzyć w swem łonie specyalne komitety, otwierać miejscowe oddziały w granicach swego terytoryum. Nadto powinno ono dopomagać swoim członkom do zawiązywania spółek dla wytwarzania i zbytu produktów różnych gałęzi przemysłu rolnego, tudzież samo takie stowarzyszenia organizować. Prawa i obowiązki miejscowych oddziałów i komitetów specyalnych, określa samo towarzystwo w granicach ustawy normalnej. Przedstawia ono ministeryum potrzeby rolnictwa w zakresie swej działalności. Jako członkowie, do takich instytucyi mają wstęp wszyscy, bez różnicy płci i stanu, pracujący na polu rolnictwa lub tylko interesujący się tą dziedziną, z wyjątkiem młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej, żołnierzy, junkrów i ludzi o prawach ograniczonych przez sądy. Członkowie dzielą się na honorowych, rzeczywistych, współpracowników i korespondentów. Rozmiary składek rocznych lub jednorazowych (od członków-założycieli), są określane przez każde towarzystwo bez taksy z góry przez ustawę oznaczonej. Paragrafy, dotyczące przyjmowania członków, zebrań, zarządu, środków materyalnych itd., są mniej więcej te same, jakimi się posługują inne stowarzyszenia, więc też streszczanie ich uważamy za zbyteczne.

Rada rolnicza przychylając się do powyższej ustawy, zaznacza iż pożądane byłoby przed ostatecznem jej zatwierdzeniem nadanie jeszcze następujących przywilejów przyszłym towarzystwom: prawo drukowania protokułów, sprawozdań, broszur i wogóle wydawnictw w kwestyach rolnych, na równi z instytucyami naukowemi. Należałoby wreszcie uwolnić od opłaty pocztowej korespondencye stacyj meteorologicznych, urządzanych przez towarzystwa.

Rozpatrując zosobna artykuły ustawy, widzimy jeden bardzo ważny szczegół: towarzystwa mają prawo przyjmować członków *obojej płci*, *różnych* stanów, *bez ograniczenia liczby* i bez względu na to, że mogą oni pochodzić z *innych* gubernij lub powiatów. Tak więc, dzięki dopływowi sił fachowych, inteligentnych, interesy ziemiańskie wiele zyskają pod względem ekonomicznym i kulturalnym. Prawo zaś udziału kobiet nasuwa na myśl inne warunki. Ponieważ wolno im wstępować do towarzystwa w charakterze członków, a zatem — przypuszczać należy — będą one mogły korzystać ze wszystkich praw członków: odczytywać referaty, zabierać głos

podawać projekty i rady w zakresie różnych gałęzi gospodarki kobiecej. Tym sposobem działy pracy, które dziś służą jedynie dla użytku domowego, nie mają żadnego poparcia, — znajdą współdziałanie i szersze drogi za pośrednictwem swych ognisk. Specyalistki więc w dziedzinie przemysłu nabiałowego, warzywnictwa, przetworów owocowych, konserw, hodowli drobiu, handlu jajami itd. skorzystają ze składów, biur komisowych, z ułatwień kredytowych dla rozwoju gospodarki i z uprzystępnienia rynków zbytu. Dodajmy, że pszczelnictwo, które kobiety uprawiają z upodobaniem, nie może dotąd rozwinąć się w ich rękach, gdyż jest również traktowane jako amatorska gałąź pracy, niemal zabawka lub dodatek na potrzeby domowe. Dotychczas, pomimo dość ciężkich i pierwotnych warunków wytwarzania i handlu, kobiety na wystawach rolniczych, szczególnie w prowincyach południowo-zachodnich, otrzymywały nieraz nagrody za przemysł wzorowy. O ileż on się podniesie i rozwinie, jeżeli powyższa organizacya wejdzie w życie, roznieci liczne ogniska spraw ziemiańskich!

W ustawie, dość szeroko obmyślanej, widzimy wszakże i braki. Tak np. jest mowa o pośredniczeniu w zbycie produktów i kupnie maszyn, narzędzi, tudzież wszelkich przedmiotów, niezbędnych w gospodarce; powstaną w tym celu składy i biura. Szkoda atoli, iż projektodawcy nie pomyśleli o rozszerzeniu zakresu owych biur, tj. nie włożyli na nie obowiązku pośrednictwa w poszukiwaniu pracowników i pracy do różnych gałęzi przemysłu rolnego. Wszakże to jest czynnik niezmiernie ważny, od którego znacznie zależy pomyślny i szybki rozwój produkcyi i zarazem — podniesienie ogólnego dobrobytu. Tem bardziej zasługuje to na uwagę, że już i praktyka dostarcza pewnych danych. Inne bowiem stowarzyszenia wprowadziły lub wprowadzają takie pośrednictwo, np. w Warszawie—pracownicy handlowi, sekcya techn. warsz. Tow. pop. r. p. i h.—itd.

Niezmiernie ważny jest jeszcze jeden szczegół ustawy normalnej, zalecającej towarzystwom rolniczym współdziałanie w zakładaniu spółek ziemiańskich przemysłowo-handlowych lub też bezpośrednie ich tworzenie. Dotychczas organizacya takich zrzeszeń ekonomicznych jest przygodna i zależna od mniej lub więcej energicznych zabiegów pewnej grupy ziemian. Ustawa nie podaje dokładnych szczegółów o sposobach tego współdziałania, ale można z góry wiedzieć, na czem ono będzie polegać. Przedewszystkiem towarzystwa powiatowe lub gubernialne, skupiając ziemian i ich sprawy, dają im jednocześnie sposobność do oceny swej siły ekonomicznej, do skrupulatnego zozejrzenia się w warunkach miejscowych i zewnętrznych. Na tym wspólnym gruncie rolnicy łatwo stworzą gromadne przedsiębiorstwa, ocenią warunki jego istnienia i rozwoju, a samo towarzystwo, jako główny pośrednik i pomocnik, ułatwi stosunki z rynkami, postara się o dokładne dane co do warunków sprzedaży, wyjedna kredyt. W ten sposób ziemianie łatwiej przyjdą do uświadomienia swej siły ekonomicznej w postaci pracy zbiorowej, która wprawdzie jest dzisiaj hasłem, ale u większości — na ustach.

Ziemianie jednak robią czasem zdumiewające niespodzianki. Gdy np. od tych, którzy zamieszkują przestrzenie o wysokiej kulturze i udoskonalonej komunikacyi, oczekujemy jakichś bohaterskich czynów przedsiębiorczości zrzeszonej, naraz powstaje ona tam, gdzieśmy się jej wcale nie spodziewali. Oto „zapadłe, senne Polesie," „zacofane," „deskami zabite," kraj, o którym znaczna liczba ludzi „z towarzystwa" tyle wie, co o Honolulu lub Paraguaju i nie umie wskazać ani strony świata, gdzie ono leży, ani przestrzeni, jaka je dzieli od mieszkańców obszarów „kulturalnych" — to Polesie pierwotne poczuło swą moc ekonomiczną, oceniło zasoby naturalne i bierze się do ich wyzyskania w taki sposób, jaki ekonomia postawiła u szczytu pracy wytwórczej doby dzisiejszej. Według doniesień *Birż. Wied.*, złożono władzy odpowiedniej do zatwierdzenia ustawę „Towarzystwa ziemian poleskich," stworzonego dla eksploatacyi bogactw mineralnych w gub. mińskiej, grodzieńskiej i wołyńskiej, tj. na znacznej przestrzeni Polesia. Badania w różnych miejscach wykryły obfite pokłady węgla kamiennego, granitu, grafitu, kwarcytu, ochry, rudy żelaznej i wielu innych. W rudzie np. znaleziono 57% czystego żelaza. Towarzystwo będzie akcyjnem, na czele zaś jego staną zamożni rolnicy: hr. S. Uwarow, S. Lisicki, ks. S. Lubomirski. Związek ten za opał i minerały, wydobyte z ziemi, zapłaci każdemu właścicielowi, ktory zechce wziąć udział w przedsiębiorstwie, po 20 rs. za dziesięcinę, w ciągu pierwszego pięciolecia obligacyami swemi; uczestnicy więc, nie ryzykując pieniędzy, staną się akcyonaryuszami. Od roku szóstego wypłata odbywać się będzie w gotowiźnie. Obecnie wyraziło już gotowość udziału 50 ziemian, posiadających 200,000 dzies. lasu i 400,000 dzies. gruntu, przeznaczonego do eksploatacyi. Towarzystwo urządzi huty żelazne, odlewnie i zbuduje koleje pomocnicze, czyli podjazdowe.

W tej nowej organizacyi wytwórczej przedewszystkiem uderza jej śmiałość, rozmach szeroki i — przekroczenie podziału administracyjnego. Polesie na znacznej przestrzeni posiada jednakie warunki przyrody i położenia, pomimo że je podzielono na kilka gubernii. Nasuwa to myśl, że towarzystwa rolnicze, gubernialne i powiatowe, muszą mieć łączność wzajemną i że w podobnych, jak powyższy, wypadkach, powinny wspólnie przedsiębrać badania, odbywać nadzwyczajne narady, zbiorowo tworzyć związki przemysłowe i dopomagać w ich rozwoju. Nie wiemy, czy tym razem projekt wielkiego przedsiębiorstwa wyszedł z ogniska spraw rolnych w Kijowie, czy Mińsku, czy też zrodził się wprost na Polesiu. W każdym razie jest to fakt wyjątkowy i doniosły, świadczący o zupełnem uświadomieniu siły ekonomicznej w tej grupie ziemian. Dotychczas bowiem związki takie były skromne, działały przy pomocy stosunkowo małych środków i na niewielkich przestrzeniach.

Zogniskowanie interesów rolnictwa w licznych stowarzyszeniach przyszłych powinno być podkładem do wyrobienia powszechnie śród ziemian poczucia tej siły w formie przedsiębiorstw zrzeszonych i — środkiem, ułatwiającym tworzenie takich związków wytwórczo-handlowych. To też danie w ręce rolnikom uświęconej przez władzę ustawy normalnej, będzie początkiem nowego okresu w rozwoju ekonomicznym wielu odłamów produkcyi, związanych z ziemią i jej bogactwem wewnętrznem.

Zen. Piet.

MUZEA PRZEMYSŁOWE.

Ktoby chciał dopatrzyć życie w naszej Wystawie stałej prób i wzorów, musiałby się posługiwać tak czułem narzędziem, jak bliscy nieboszczyka, którzy łudząc się nadzieją śmierci pozornej, przykładają do ust zmarłego lustro, ażali nie pozostanie na niem para, jako znak letargu. Nie mając takiego przyrządu dla zbadania ukrytych iskierek życia w instytucyi warszawskiej, nie mogę ocenić, jak głęboko one leżą pod warstwą spopielonej bezwładności i jakiej siły miechów trzeba użyć, ażeby to popielisko do dna przedmuchać. Ponieważ naszą dobrodziejką, przewodniczką i nauczycielką zawsze i wszędzie jest zagranica, więc i tym razem udajmy się po wskazówki do niej. Uważny turysta na drodze ku Belgii zobaczy niemal we wszystkich salach stacyjnych duże ogłoszenie *Musée commercial* — w Brukselli. Jakież jego zadanie i działalność? Jeszcze w szóstym dziesiątku niniejszego wieku rząd belgijski polecił swoim konsulom we wszystkich wybitnych ogniskach wszechświatowych życia ludzkiego zbieranie odpowiedniego materyału i danych. Dzięki rzetelnemu wywiązywaniu się z tego zadania, ministeryum spraw zewnętrznych co rok w pewnych sezonach posiadało wielkie zbiory próbek z najdokładniejszym ich opisem. Wzory te natychmiast odsyłano do Antwerpii dla szkoły handlowej, jako środek wielce pomocniczy w nauce geografii przemysłowej i towaroznawstwa. W r. 1880 rząd belgijski postanowił skorzystać z bogatego materyału w szerszych granicach. Założono więc w Brukselli owo *Musée commercial*, w którem wystawiono wzory wszystkich towarów, poszukiwanych na rynkach wszechświatowych, wraz z najdokładniejszemi wskazówkami kosztów. Do szkoły zaś w Antwerpii postanowiono posyłać duplikaty i kopie doniesień konsulów. Koszt urządzenia Muzeum wzięło na siebie kupiectwo, a utrzymanie — rząd. Kupno domu i urządzenie pochłonęło przeszło pół miliona franków. Na utrzymanie skarb państwa udzielił po 30 tys. rocznie (na 5 lat), na następne zaś pięciolecie (1887—1892) po 55 tys. fr. rocznie. Celem tej instytucyi jest: zaznajomienie wytwórców i kupców belgijskich z rodzajem produktów, wywożonych za granicę, z siłą spożywczą państw obcych, warunkami dostawy, upodobaniem ogółu, panowaniem pewnej mody w danej chwili. Nadto udziela ona informacyj o cenach, sposobach opakowania itd. Daje najdokładniejszy obraz produkcyi i współzawodnictwa innych krajów; za wiarogodność zaś tych wszystkich szczegółów bierze na siebie odpowiedzialność samo ministeryum. To też przemysłowiec lub kupiec belgijski, zawiązując stosunki chociażby z najdalszym rynkiem wszechświatowym, działa zupełnie jasno, świadomie, może wybornie obliczyć stopień swego powodzenia w podboju międzynarodowych ognisk wymiany. Muzeum posiada katalogi ogromne z najdrobniejszemi objaśnieniami każdego wzoru; przyczem szczegóły te stale są zmieniane i uzupełniane, w miarę zmiany warunków zbytu danego produktu.

Przyjrzyjmy się wewnętrznemu urządzeniu tej instytucyi. Dzieli się ona na 44 grupy i 36 klas, obejmujących przedmioty od surowych i wykończonych aż do wytworów artystycznych. Grupy te są rozłożone tak, że niższe piętro zawiera wzory towarów surowych i półfabrykatów; dalej idą coraz doskonalsze i w końcu najwyżej — artystyczne — fabryczne i rękodzielnicze. Wogóle Muzeum rozpada się na trzy oddziały: pierwszy obejmuje próbki towarów, przywożonych do Belgii. Wystawiono tam przedewszystkiem wzory produktów surowych, niezbędnych dla przemysłu przetwórczego w Belgii: minerały, kokony jedwabników, bawełnę, skóry, produkty włókniste itd. Wszystkie te towary przychodzą z różnych krańców świata. Przy każdej próbce umieszczono cedułkę z najświeższemi doniesieniami konsulów, nadzwyczaj dokładnemi; np. obok próbki bawełny można znaleźć szczegóły, skąd towar pochodzi, jaki był jego urodzaj w ostatnim roku, czem się różni od przeszłorocznego, na jaką ilość z plonu bieżącego i cenę można liczyć, o ile ceny oznaczone są trwałe, ile wyniesie fracht od miejsca produkcyi do danego portu w Belgii, jakie są warunki tranzakcyi, w jaki sposób można sprowadzać towar bezpośrednio, albo jakie pośrednictwo może być pewne. Obok

próbki rudy bezwarunkowo być musi cena, miejsce produkcyi, cło wwozowe, wyniki analizy najrzetelniejsze, wreszcie teoretyczne wyliczenie procentu czystego metalu.

Oddział drugi jest wielce ciekawy i pouczający nietylko dla Belgii, lecz dla wszystkich państw, zainteresowanych potrzebami rynków wszechświatowych. Są tutaj wzory towarów, poszukiwanych przez różne kraje lub będących przedmiotem wywozu. Umieszczono też mnóstwo próbek jednego towaru, dla wykazania paraleli i siły współzawodnictwa wytwórców. Obok wzoru wskazany jest sposób opakowania, wymaganego na danym rynku. Nadto łatwo znaleźć nietylko najdokładniejsze szczegóły o sposobach zbytu, ale i dom handlowy, który może być dobrym pośrednikiem-komisyonerem w pewnej miejscowości, tudzież wszelkie szczegóły, dotyczące strony finansowej tej firmy.

Oddział trzeci — to biuro informacyjne (*Bureau de renseignement*) świetnie zorganizowane. Każdy interesant, którego nie zadawalają szczegóły, umieszczone w katalogach i przy próbkach, może się tam dowiedzieć np., jak dalece są trwałe ceny pewnego produktu (za pomocą wykazów z okresu kilkoletniego), kiedy, z jakich portów i jakie statki odchodzą, gdzie są biura transportowe. Jako wymowny przykład, jeden z naocznych świadków *) opowiada następujący szczegół: Pewnemu fabrykantowi, który zażądał wskazania wysokości frachtu i najlepszych dróg dostawy towaru, wymieniono porty, skąd stale wychodzą statki żaglowe. Następnie urzędnik zajrzał do korespondencyj bieżących i wyjaśnił: „Może pan skorzystać ze statku X towyrzystwa Y, który przybył do nas przypadkowo i odpłynie za pięć dni. W takim razie towar pański dojdzie na miejsce o dwa tygodnie wcześniej."

Obok biura informacyjnego istnieje czytelnia, która oprócz specyalnych pism angielskich, francuskich, niemieckich, włoskich, amerykańskich i innych, posiada roczniki statystyczne, sprawozdania wielkich towarzystw akcyjnych, księgi z adresami wybitnych firm, rozsianych po całym świecie. Na ścianach wiszą mapy i tablice, na których między innemi są wskazani wszyscy konsulowie belgijscy, czynni za granicą tudzież chwilowo przybyli do kraju i gotowi do udzielania wskazówek interesantom w oznaczonych godzinach.

Muzeum brukselskie zajmuje dziś pierwsze miejsce w Europie. Następnie zasługuje na uwagę założone r. 1886 w Wiedniu Muzeum handlowe pod nazwą *K. K. Oesterreichisches Handels-Museum*. Dalej idzie podobna instytucya (z biurem informacyjnem) Towarzystwa centralnego geografii handlowej w Berlinie: *Museum des Central-Vereines fur Handels-Geographie.* Wreszcie szereg innych: *Nederlands Handels-Museum* w Amsterdamie; *Kolonial Museum Frankfurter Musterlager* we Frankfurcie; także muzea w Lizbonie, Oporto i Medyolanie. Wszystkie częściowo lub całkowicie, są utrzymywane przez rząd i poniekąd wzorują się na Muzeum brukselskiem. Obecnie w Berlinie postanowiono urządzić wielkie cesarskie Muzeum przemysłowe (*Reichs Handels Museum*), które ma prześcignąć brukselskie w zakresie spraw handlu zewnętrznego. We Francyi również niezadługo powstaną dwa takie ogniska pod kierunkiem *Sociétés de geographie commerciale* w Paryżu i Bordeaux. Tylko Anglia, licząc na wielką rolę swojej floty handlowej, do ostatniej chwili nie myślała o podobnych urządzeniach. Ale obecnie i tam już kwestya owa wypłynęła na porządek dzienny.

Oprócz tych półurzędowych organów handlu z oddziałami wywiadowczymi, istnieją jeszcze na zachodzie Europy, założone przez przedsiębiorców prywatnych wielkie biura handlowe, popierane również przez rząd, jak np. *Institut Schimmelpfeng* w Berlinie, założony r. 1872. Po jedenastu latach działalności liczył on 15,245 abonentów (r. 1883) udzielił 354,766 informacyi. Wogóle zaś we wszystkich państwach zachodnio-europejskich prawie nie ma portu lub innego ogniska przemysłu i handlu, gdzieby nie było t. zw. „składu próbek i wzorów" (*Muster-Lagerhaus*). Pierwsze kroki w tym kierunku uczyniły Niemcy.

Owe wszakże muzea handlowe i składy, różnią się znacznie od t. zw. „muzeów przemysłowych" (*Gewerbe Museum*). Skład, to właściwie stała wystawa prób i wzorów pewnych firm, dla których służy ona jako reklama. Muzeum handlowe ma główne na celu udzielanie kupcom i przemysłowcom wskazówek, co do zbytu towaru; gdy zadaniem przemysłowych jest wywołać udoskonalenie w produkcyi, dać nietylko wzory pewnych towarów, ale także maszyny i sposoby ich wytwarzania tudzież ulepszenia. Jednym z typowych tego rodzaju organów jest Muzeum w Sztutgardzie (nazwane pierwotnie „Muster-Lager"), utworzone jeszcze r. 1849. Przed laty dwudziestu kilku przekształcone na przemysłowe, stało się wzorem dla innych. W instytucyi tej (*Central-Stelle fur Handel und Gewerbe*) wzięli udział fabrykanci, kupcy i rzemieślnicy, a nawet urzędnicy, profesorowie i nauczyciele. Zadanie Muzeum bardzo rozległe: szerzenie wiadomości technicznych, przemysłowych i handlowych, za pomocą nauczania tudzież pożytecznych wydawnictw; wystawy i zbieranie próbek wyrobów z obcych państw; wysyłanie fachowców i robotników za granicę dla nauki; udoskonalanie produkcyi przemysłowej za pośrednictwem ułatwienia wytwórcom porozumiewania się z technikami; delegowanie rzeczoznawców na wystawy przemysłowe; nabywanie narzędzi wzorowych; rozpowszechnianie nowych maszyn, instrumentów itd. Wreszcie popieranie zbytu wytworów produkcyi wewnętrznej za pomocą wystaw. Dziś Muzeum to słynie z wielkiego bogactwa okazów, skwapliwie nabywanych na wszelkich wystawach w Europie.

Po tym przeglądzie silnych, zamożnych, głośnych i pożytecznych organów przemysłowo-handlowych na zachodzie Europy, jakże mizernie wygląda nasza wystawa prób i wzorów—ta żebraczka warszawska, lekceważona nawet przez tych, dla których pożytku powstała! Nie może ona dorównać najskromniejszemu „składowi próbek" za granicą. Gdy tam organy takie stały się nerwem interesów mas ludności, pracującej w dziedzinie wymienno-wytwórczej, gdy każdy przedsiębiorca może z góry obliczać swoje zyski z rzucenia towarów na rynki dalekie, my częstokroć nie wiemy o tem, że o paręset wiorst są usilnie poszukiwane produkty, które u nas nie mając na miejscu spożywców, spoczywają w składach kupieckich lub fabrycznych. Gdy za granicą na dworcach kolejowych i wszędzie, gdzie się przesuwają liczne tłumy, porozlepiano setki tysięcy ogłoszeń o tych instytucyach—u nas mało kto wie o istnieniu i adresie „wystawy." Słowem—jest ona traktowana jak zakład dobroczynny, podczas gdy powinna być silnie popieraną przez kupców, przemysłowców i rzemieślników w ich własnym interesie. Jeżeli nas nie stać na parę muzeów—osobno przemysłowych i handlowych, to chyba można byłoby w jednem połączyć działalność wszystkich typów tych urządzeń, znanych na Zachodzie; z instytucyi martwej, zrobić żywą, zadość czyniącą potrzebom istotnym.

Drogomir.

*) K. Weber, *Wies. Ewr.*, kwiecień, 1895.

— Warszawski kantor Banku państwa rozpoczął udzielanie pożyczek na zastaw produktów rolnych, jak: mąki, kaszy, krochmalu itd. Otwarty jest również kredyt na powiększenie kapitału obrotowego gospodarstw i fabryk.

— Mennica petersburska w ciągu trzech lat wybije monety złotej na 600 milionów rubli.

— *Gornozaw. Listok* donosi o odkryciu żył złotych w okręgu donieckim.

— W Rostowie nad Donem odbywa się ładowanie zboża w olbrzymich rozmiarach, niebywałych nawet podczas najświetniejszych obrotów z lat dawnych.

— Ceny wszelkich przyborów pszczelarskich, wyrabianych w warsztatach Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego w Warszawie, zniżono o 10—20%.

— Z rozporządzenia ministeryum rolnictwa i dóbr państwa przy niektórych szkołach ludowych w gub. mińskiej i wileńskiej wykładane będą przez delegowanych specyalistów sadownictwo i ogrodnictwo.

— Opracowano poprawki prawa podatku od mieszkań, który, jak dowiodła praktyka, jest pobierany niewłaściwie: za dużo, albo za mało. Dla zachowania zgodności tego poboru z cenami mieszkań, postanowiono co trzy lata przeglądać i zmieniać podziały na klasy.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W Tarnopolu (Galicya) aresztowano sześciu egzekutorów podatkowych, którzy od dawna przywłaszczali ściągane pieniądze za zaległe podatki i przegrywali je w karty.

— Podobno dom gry w Monte Carlo ma być zamknięty przez lato.

— Według *Now. Wrem.*, ustawa miejska w Królestwie Polskiem ma być wprowadzona stopniowo.

— Główny zarząd więzienny otworzy latem w kilku miastach nowe stacye antropometryczne. W ciągu trzech lat powstaną one we wszystkich miastach Cesarstwa i Królestwa Polskiego.

— *Warsz. Dniew.* pisze: „Dnia 1 maja w fabryce odlewów żelaznych Rudzkiego, przy ul. Fabrycznej, robotnicy, w liczbie około 800, urządzili zmowę i o godzinie 8-ej z rana przerwali robotę. Przybyłemu na miejsce inspektorowi fabrycznemu i innym władzom powiodło się wkrótce drogą przekonywania skłonić robotników do prowadzenia zajęć zawieszonych; krótkiej przerwie w robocie nie towarzyszyły żadne nieporządki. Zaznaczyć należy, że podczas toczących się rokowań sami robotnicy nie umieli ściśle sformułować swoich roszczeń; jedni mówili o konieczności podwyższenia płacy zarobkowej, inni żądali skrócenia godzin roboczych, a tylko pewna, zresztą nieznaczna część, oświadczyła, że „dziś święto i nie można pracować."

— Z Poznańskiego agenci niemieccy werbują bardzo wielu włościan obojej płci na robotę do Saksonii. Przez Bydgoszczę w tych dniach przejechało około 5,000 robotników z Księztwa tudzież z Prus zachodnich i wschodnich. Bractwo św. Izydora, stworzone dla zatrzymywania ludności na miejscu, jest dotąd bezsilne wobec potęgi warunków ekonomicznych i kulturalnych.

Szkoły. Wyjaśniono, iż tylko uczniowie szkół miejskich, którzy przeszli kurs dwu oddziałów, mogą korzystać z ulg 3-ej klasy w zakresie służby wojskowej. Prawo to nie może się stosować do słuchaczów kursów wieczornych i niedzielnych, chociażby złożyli egzamin z wymienionych dwu oddziałów.

— Od r. 1895—6 w szkołach fińskich wprowadzona będzie konwersacya rosyjska.

— Wykłady teoretyczne hodowli jedwabników rozpoczną się d. 15 b. m. w sali Muzeum pszczelniczego przy ul. Wiejskiej nr. 12. Nauka jest bezpłatna dla tych słuchaczów dyżurnych, którzy będą pomagali przy hodowli jedwabników w Bogucinie.

— Powstają szkoły telegraficzne (d. 13 maja r. b.) w Radomiu, Kielcach i Strzemieszycach, pod kierunkiem starszych telegrafistów, dozorem mechaników i kontrolerów telegrafu. Przyjmowani będą aplikanci najmniej 16-letni, ze świadectwami z ukończenia szkół powiatowych lub kolejowych (2 kl.). Wychowańcy do czasu otrzymania „etatu" nie będą pobierali pensyi stałej, lecz wysyłani na zastępstwa urzędników służby ruchu, otrzymają po 75 kop., a telegrafistów 60 kop na dobę. Urzędnicy i konduktorowie (do 40 lat wieku) mają pierwszeństwo do awansu.

Koleje i komunikacye. Otwarto żeglugę na rzekach Syberyi zachodniej.

— D. 27 b. m. wprowadzony będzie pomiędzy Warszawą a Petersburgiem pociąg błyskawiczny, który całą przestrzeń przejeżdżać ma w ciągu 24 godzin.

— Od Tłuszcza (druga stacya od Warszawy kolei Petersburskiej) postanowiono zbudować odnogę do Garwolina, leżącego o 3 wiorsty od stacyi Wilga kolei Nadwiślańskiej. Odnoga powyższa przejdzie przez Nowomińsk. Cała jej długość wyniesie 54 wiorsty. Budowa będzie prowadzona kosztem skarbu, eksploatacya zaś oddana będzie zarządowi kolei Terespolskiej wraz z linią Tłuszcz-Ostrołęka. Tym sposobem nowa droga połączy bezpośrednio trzy ważne arterye: Petersburską, Terespolską i Nadwiślańską.

— Ustanowiono następującą normę szybkości pociągów: kuryerskich 65—75 wiorst, pośpiesznych 65, pocztowych 50, osobowych 40 wiorst na godzinę.

— Gazeta *Okraina* donosi, iż wyższej władzy przedstawiono projekt połączenia kolejowego między Syberyą a Turkestanem.

Sądy. W ubiegłym tygodniu sąd okręgowy warszawski rozstrząsał podanie, wniesione przez p. Adama Łaszczyńskiego w sprawie jego z p. Włodzimierzem Plaskowskim o współwłasność *Kuryera świątecznego*. Pierwszy domagał się przywrócenia mu spóźnionego terminu skargi apelacyjnej do izby sądowej. Żądanie to odrzucono. Tym sposobem powództwo p. Plaskowskiego jest uprawomocnione.

Kąpiele ludowe. Od lat wielu błąkająca się po pismach sprawa kąpieli ludowych prawdopodobnie wkrótce wejdzie w życie. Zarząd Towarzystwa dobroczynności postanowił udzielić 8,000 rs. na kupno placu.

Wypadki. Z Londynu telegrafują, iż orkan zniszczył w Jawie wiele domów. Trzy szkoły podczas wykładów runęły; mnóstwo zabitych ludzi.

— Wielki pożar zniszczył Koprzywnicę pod Sandomierzem. Ocalono tylko dwa kościoły. Z 396 domów zostało 11. Między innemi zgorzały: sąd i urząd gminny a w nich wszystkie akty, szkoła, apteka i wikaryat. Wraz z domami spłonęły niemal wszystkie ruchomości mieszkańców, zamożniejszych i pieniądze schowane w stodołach. Zginęło w ogniu 18 osób, wielu się poparzyło. Bez dachu i chleba pozostało 2,500 mieszkańców. Dla niesienia pomocy stworzono komitet.

— W nocy, między Braiłowem a Gałaczem, parostatek Towarzystwa czarnomorsko-dunajowego, „Bulgarya,“ uderzył o parowiec niemiecki „Fritz,“ który zatonął. Podróżnych i załogę zdołano uratować.

Zmarli. Karol Vogt, w Genewie, słynny przyrodnik niemiecki. Ur. 5 lipca 1817 r. w Giessen. W r. 1839 brał udział w znanych badaniach Agassiza i Desora; roku 1847 został profesorem w Giessen; r. 1852 — profesorem geologii w Genewie i wkrótce członkiem szwajcarskiej rady stanów. R. 1861 był kierownikiem wyprawy do bieguna północnego. Poprzestajemy na krótkiej wzmiance tymczasowej, gdyż działalności naukowej i społecznej Vogta należy się obszerniejsze wspomnienie.

— Teodor Paprocki, znany księgarz i wydawca w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Studentowi z Moskwy. Nie mamy jeszcze wiarogodnych szczegółów o zakresie i terminie otwarcia szkoły technicznej w Łodzi.

Redaktor i Wydawca dr. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 28 Апрѣля 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.